



BRUCE LEE: prawda i legenda



Rys. Leszek Kosiński

str. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamera



NR 14 (781)

3 - 16 lipca 1983

CENA 10 ZŁ

ZSP po raz drugi

Jan Tarajko

JEDENASTO lat temu we wszystkich środowiskach akademickich kraju wyczuwano się atmosferę niepokoju. Aktywiści i członkowie Zrzeszenia Studentów Polskich, Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej, najprzeróżniejszych kół, klubów i agencji działających pod egidą którejś z tych organizacji (najczęściej było nią ZSP) spierali się o przyszły kształt ruchu studenckiego. Temat do swarów wywołany został odgórnie, choć „na dole” nie odczuwano potrzeby specjalnych zmian. Wcześniej, gdzieś na wysokich szczeblach kierownictwa politycznego, zapadła decyzja o reorganizacji tego ruchu, która bez względu na wyniki konsultacji (wówczas jeszcze nie używano tego określenia) miała być wprowadzona w życie. Finał nastąpił w marcu 1973 r.,

kiedy to ZSP, ZMW i ZMS na uczelniach „połączyły się”, tworząc Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. O ile się orientuję, kulisy tamtych wydarzeń nie zostały do dziś wyświetlone. Myślę, że teraz, gdy obradujący w listopadzie ub. r. w Warszawie IV Zjazd SZSP po przemianowaniu się w Kongres Założycielski ZSP postanowił nawiązać do form organizacyjnych i treści programowych Zrzeszenia, warto sięgnąć do historii i w oparciu o półroczne doświadczenia pokusić się o wskazanie na jeden najważniejszy problem.

Utworzone 17 kwietnia 1950 r. ZSP zdobyło autentyczny autorytet: tak wśród uczących się młodych ludzi, jak i u władz uczelni. Ci pierwsi odnajdywali w nim możliwości atrakcyjnego

Dokończenie na str. 9

Artykuł dyskusyjny

Fiskus i hektary

Henryk Pająk

P O wielu tygodniach nerwowych domysłów wieś otrzymała wreszcie oficjalny projekt nowych podatków rolniczych. Projekt ten tworzy dość przejrzysty system ujednoczonych obciążeń wszystkich sektorów rolnictwa i wszystkich rodzajów produkcji rolnej, toteż, przed podzieleniem się z Czytelnikami ocenami rolników i moimi uwagami, przytoczę w skrócie jego główne założenia.

Przyjmuje on za podstawę obciążeń tak zwany hektar przeliczeniowy, ustalony według klasy gleb. Dla przy-

kładu: hektar gleby II klasy wyniesie 1,75 hektara przeliczeniowego.

Z tak przyjętego hektara rolnik będzie płacił podatek równy wartości 2,5 kwintala żyta, liczonej w aktualnej cenie skupu. W dniach, gdy przelicznik ten ustalano, cena kwintala żyta wynosiła 1440 złotych. Nowością ostatnich dni jest propozycja ceny żyta wynoszącej już 1750 złotych. Podatek będzie więc wartością zmienną. Nie trzeba dodawać, w jakim kierunku będą szły te zmiany. Tak więc za-

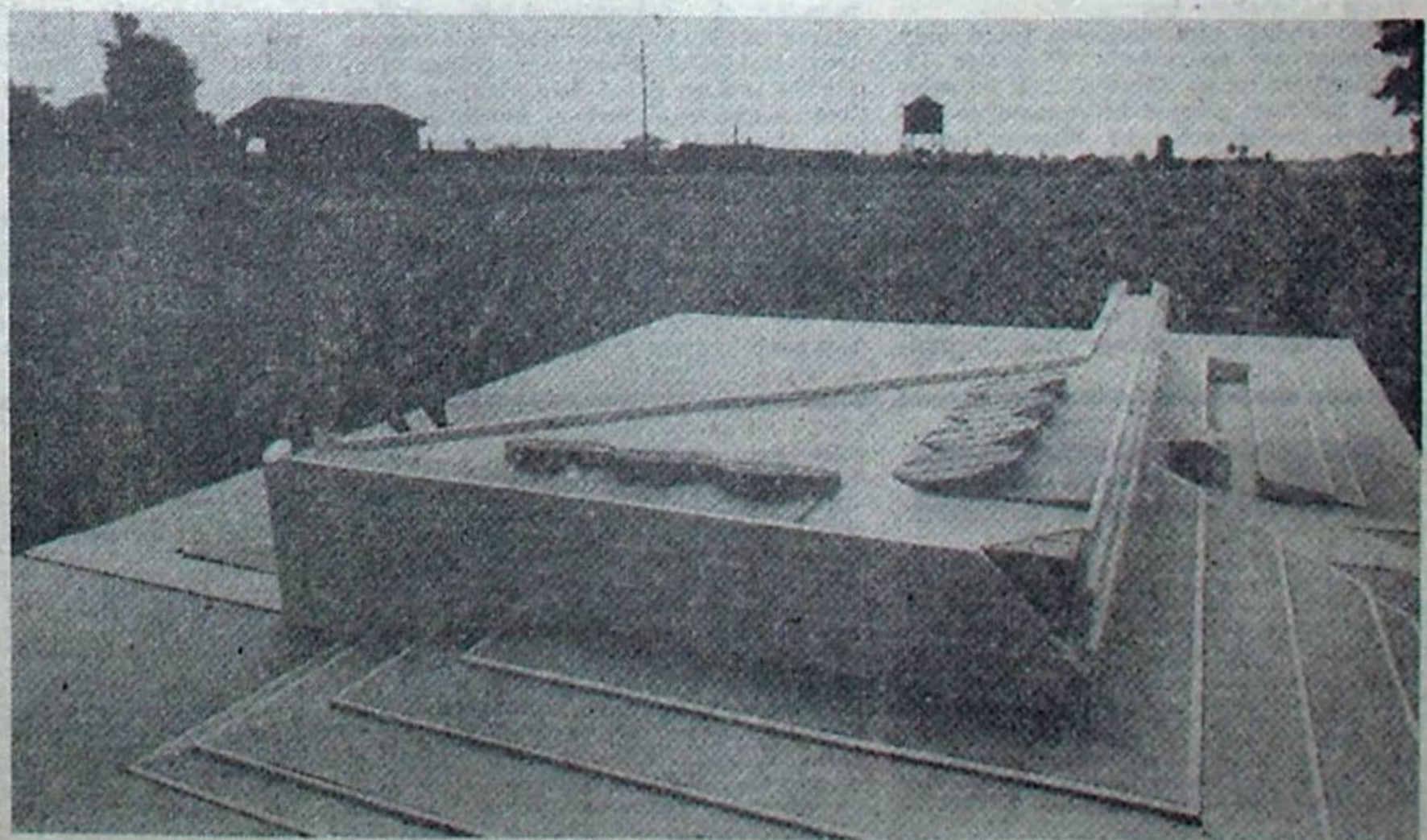
Dokończenie na str. 8

ŚWIĄTYNIA POKOJU

Pierwsza w świecie ekumeniczna Świątynia Pokoju stanie na przedpolu obozu zagłady na Majdanku. Idea ta zrodziła się w 1980 roku, zwerbalizowana w homilii ku czci ofiar Majdanka przez biskupa ordynariusza lubelskiego ks. prof. Bolesława Pyrdynariusza lubelskiego ks. prof. Bolesława Pyrdynariusza. W lutym br. ogłoszono konkurs na projekt architektoniczny świątyni. Rozstrzygnięto go 8 czerwca br. Jury pod przewodnictwem wybitnego architekta prof. Tadeusza Zielińskiego przyznało I nagrodę (200 tys. zł) zespołowi architektów z Krakowa: Markowi Kowickiemu, Jerzemu Wzorkowi i Edwinowi Drewniakowi. Dla podkreślenia wybitnych walorów projektu nie przyznano nagród drugim. Dwie trzecie — otrzymali twórcy warszawscy.

Świątynia Pokoju zawiera w swoim wnętrzu przestrzeń ponadkonfesyjną, wspólną dla wyznawców dominujących religii i wyznań, a także, co jest nowością na skalę światową, dla niewierzących oraz odrębne części wyznaniowe: buddyzmu, islamu, judaizmu, katolicyzmu, prawosławia protestantyzmu i właśnie — dla niewierzących. Świątynię-pomnik budować będą wszystkie wymienione wyznania, a organizatorem budowy jest kuria biskupia lubelska.

Zgodnie z programem ideowym, opracowanym przez o. prof. Cele tyna Napiórkowskiego (KUL), realizacja w zamierzonej formie stanowić będzie materialne spełnienie najszerzej pojmowanej idei ekumenizmu, tj. nie tylko jedności i wspólnoty chrześcijan, ludzi wierzących, ale także ludzi w ogóle. Taki był bowiem sens ekumenizmu męczeństwa i cierpienia na Majdanku.



Projekt nagrodzonej pracy krakowskiej.

W.P.

Fot. Jacek Mirogław

z notatnika

14 VI Po Szczecinie — Suwałki, a ściślej Wigry pod Suwałkami. Dwutygodnik ma ten plus, że nie jest się uwiązany, chociaż, mówiąc szczerze, i tak zbyt długo przesiadują w Lublinie. Lata robią swoje, człowiek, chcąc nie chcąc, nieco leniwieje, chociaż jeszcze nie korzysta z emerytury, jak niektórzy młodszy koledzy.

Skorzystałem z zaproszenia na Konfrontacje dziennikarzy pism regionalnych, zorganizowane przez redakcję ambitnych „Krajobrazów”, tygodnika PZPR ukazującego się w Suwałkach pod kierownictwem pomysłodawcy, sympatycznego i inteligentnie zadziornego Marka Starczewskiego.

Obrady odbywały się w ośrodku wypoczynkowym Ministerstwa Kultury i Sztuki, usadowionym obok starego klasztoru, a więc atmosfera była bardzo na czasie...

Dla mnie najistotniejszą sprawą w czasie tego typu spotkań nie są oficjalne obrady — a trzeba przyznać, że tej „oficjalności” było tym razem aż za wiele — ale rozmowy kulturalowe. Te ostatnie trwały nad wyraz długo, nawet do wschodu słońca, ale dzięki nim mogliśmy się lepiej poznać wzajemnie.

Podstawową cechą tygodników PZPR, które w przeważającej mierze powstały w ciągu ostatnich pięciu lat, jest młodość. Młodość zespołów i młodość ich szefów. To nie stare repy dziennikarskie, kontrolujące każde słowo swoje czy też członka zespołu (ze zwykłego przyzwyczajenia, z nawyku, z obowiązku, z politycznego wyczucia etc.), ale młodzieki (w przeważającej mierze, bo są przecież wyjątki), którzy marzą jeszcze o naprawie otaczającego ich świata i wierzą, choć może nie bezgranicznie, w swe możliwości. Działają w różnych warunkach, mają mniejszą lub większą swobodę, a nad sobą... bardzo mądrą lub mniej mądrą władzę, z którą liczyć się muszą, bo od niej jednak, zwłaszcza w byłych stolicach powiatów, zależy wiele. Nauka jest zapewne wzajemna: uczą się dziennikarze, uczą się władze, a pozycja redaktora naczelnego z pewnością jest zróżnicowana, zależy nie tylko od miejscowych układów, ale i od osobowości kierownika pisma. Wielu redaktorów naczelnych to desantowcy, przybyli z Warszawy, lub byłej wojewódzkiej „antelli”. Jedni z nich szukali po prostu innego klimatu, inni marzyli o awansie, a byli też i tacy, którzy zmieniali żony i w terenie mieli możliwość otrzymania mieszkania. Samo życie. Sporo piszę na ten temat, ale wydaje mi się on dość istotny: zaw sze najpierw „rozlicza się” naczelnego, a potem dopiero zespół. No i głównie na naczelnego spływają splendory, on też „w razie czego” otrzymuje największe baty.

Nie sądzę, aby wszyscy redaktorzy naczelnicy się sprawdzili. W czasie IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR miałem możliwość poznać kilkunastu redaktorów naczelnych ze wspomnianych redakcji. Teraz szukam ich daremnie. Nawet bez specjalnych analiz można stwierdzić, że fluktuacja kadr (z różnych względów) jest tu największa. W naszym regionie „Słowo Podlasia” ma już czwartego redaktora naczelnego, „Tygodnik Chełmski” — drugiego, również drugiego ma „Tygod-

nik Zamojski”, choć to nie oznacza, że we wszystkich trzech redakcjach odejścia miały to same podłoże. „Kamena” ma wprawdzie też trzeciego redaktora naczelnego, no ale w przeciągu półwiecza — dodam nieskromnie... (i tak wywołuję wilka z lasu)

Miejsce nie pozwala mi na kontynuowanie tematu. Wróć do prasy regionalnej w osobnej publikacji, ale już teraz chciałbym podziękować organizatorom konfrontacji za zaproszenie. Poznałem wielu uroczych ludzi i to uważam za dobro największe. Sądzę, że osobiste kontakty pozwoliły w przyszłości na wzbogacenie tematyki „Kamena”. Mam już pewne pomysły.

24 VI Wczoraj dobiegła końca wizyta, druga z kolei, papieża Jana Pawła II w Polsce. Radio, telewizja, prasa relacjonowały ją obszernie. Wizyta wzbudziła olbrzymie zainteresowanie na całym świecie. Z samych Stanów Zjednoczonych zjechało nad Wisłę 305 korespondentów. Co ich interesowało szczególnie, to inna sprawa. Sądzę, że wielu spośród nich się zawiodło, bo nie takich wydarzeń oczekiwali. Nie wiem, czy Joseph Kraft z „Washington Post” znajdował się w amerykańskiej ekipie, czy też śledził podróż z Waszyngtonu, niemniej głos ten nieco odbiega od głosów jego amerykańskich kolegów po piórze. Kraft stwierdził, że jeśli papież jest wielką postacią, to trzeba przyznać, że gen. Jaruzelski też pokazał się jako postać niemałego kalibru. Jego zachowanie było nadzwyczajne — spokojne, z poczuciem pełnej odpowiedzialności przed historią i krajem. W przemówieniu powitalnym w Belwederze wskazał na napiętą sytuację międzynarodową i zagrożenie nową wojną, która byłaby po stokroć bardziej niszcząca niż wszystkie poprzednie. Wskazał też, że napięcia międzynarodowe pogarszają tylko wewnętrzne trudności Polski. Mówił o tym — stwierdził Kraft — prosto i wyraźnie. Przyznał, że życie codzienne jest trudne. Wskazał, że jeśli państwo staje się słabsze i wpada w anarchię, cenę za to musi płacić naród.

Nikt — pisze dalej Kraft — komu znana jest tragiczna historia Polski, nie może lekko pominąć tych słów. Polscy patrioci, obojętnie narodowcy czy liberalowie, księża czy wojskowi zbyt często grali i przegrywali kartę patriotyczną. Wyjaśnia to też dlaczego w okresie, gdy powstawały inne państwa, w XVIII i XIX wieku, państwo polskie zniknęło z mapy Europy.

Jak się należało spodziewać, niektóre homilie papieża wywołały trudną do opanowania wściekłość organizacji odwetowych w RFN. „Ziemiokstwo Górnoślązków” w specjalnym oświadczeniu stwierdza, że „wierność niemieckich Górnoślązaków” wobec głowy Kościoła „nie obejmuje spraw terytorialnych”. Niemiecy Górnoślązacy idą jeszcze dalej. Ich zdaniem „Stolica Apostolska będzie musiała bardzo starannie zbadać, czy wypowiedzi (papieża) w sprawach terytorialnych” są zgodne z tezą o istnieniu Rzeszy w granicach z 1937 roku.

Pies szceka, karawana idzie dalej. Cokolwiek by gadali rewizjoniści nie da się ukryć, że wizyta papieża na ziemiach zachodnich, jego spotkania

w Wrocławiu i na Śląsku Opolskim mają określoną (doniosłą) wymowę.

Jan Paweł II dwukrotnie spotkał się z gen. Wojciechem Jaruzelskim (pierwszy raz — w towarzystwie prof. Henryka Jabłońskiego). Drugi raz doszło do spotkania z inicjatywy strony kościelnej. Rozmowa na Wawelu trwała półtorej godziny, kontynuowano wymianę poglądów zapoczątkowaną 17 bm. w Belwederze. W komunikacie o tym spotkaniu wyrażono nadzieję, że druga wizyta papieża w Polsce przyczyni się do pokojowego i pomyślnego rozwoju życia społecznego w naszym kraju, a dalsze kontakty między Stolicą Apostolską a władzami PRL będą służyć dobru państwa i Kościoła. Zwrócono też uwagę na światowy wymiar wizyty i wyrażono nadzieję, że przyczyni się ona do umocnienia pokoju w Europie i na świecie.

Uzupełniam 25 VI Minister Adam Łopatka złożył w Sejmie informację rządu o wizycie papieża.

W uroczystościach religijnych z obecnością papieża wzięło udział 6 650 tys. osób. Była przedsięwzięciem organizacyjnym na ogromną skalę, wielkim egzaminem sprawności dla pracowników komunikacji, handlu, służby zdrowia, poczty. W dniach 16—22 czerwca służba zdrowia udzieliła 28 120 osobom, uczestnikom spotkań z papieżem, pomocy ambulatoryjnej. Pogotowie ratunkowe udzieliło pomocy 3842 osobom, z tego 703 osoby hospitalizowano. Zanotowano cztery zgony wśród pielgrzymów oraz kilka poronień. W łóżkach dziecka znalazło się 820 dzieci zagubionych w czasie spotkań z papieżem.

PKP uruchomiły dla pielgrzymów 912 pociągów lokalnych i dalekobieżnych, PKS dokonała przewozu pielgrzymów 2260 specjalnie zamówionymi autobusami.

Osobne podziękowanie należy się funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa i milicji za efektywne i taktowne zapewnienie bezpieczeństwa papieżowi, jego otoczeniu oraz milionowym uczestnikom spotkań. Godne podkreślenia i uznania jest szerokie współdziałanie czynników kościelnych oraz obywateli z tymi służbami.

Mimo że liczne koła na Zachodzie były przeciwne wyjazdowi Jana Pawła II do Polski, wizyta doszła do skutku w uzgodnionym terminie i kształcie. Przebiegała na ogół w atmosferze powszechnego zainteresowania, spokoju i godności. Tak było mimo prób, jakie siły podziemia i opozycji w Polsce — usilnie zachęczone przez obcojęzyczne rozgłoszenie radiowe — podejmowały kilkakrotnie, aby wykorzystać dla swoich nieuczynnych celów politycznych zgromadzenia religijne.

Wizyta jeszcze raz potwierdziła zgodne stanowisko Polski i Stolicy Apostolskiej co do nienaruszalności istniejących granic Polski; unaocznili ponownie zbieżność stanowisk Polski i Stolicy Apostolskiej w najdonioślejszej dziś dla ludzkości sprawie — sprawie pokoju, zapobieżenia wyścigowi zbrojeń i katastrofie nuklearnej; potwierdziła jedynomyślność Polski i Stolicy Apostolskiej co do tego, że suwerenna Polska potrzeba jest na swoim miejscu w Europie i świecie!

25 VI PAP doniosła, że w momencie, gdy przedstawiciele najwyższych władz, Episkopatu i społeczeństwa żegnali na lotnisku w Balicach papieża Jana Pawła II, prezydent Reagan występując w Chicago uznał za wskazane pouczyć Polaków jak powinni

układać swoje sprawy. W swym antypolskim zapale Reagan posunął się do porównania atmosfery w Polsce w okresie wizyty papieża do atmosfery hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Rząd polski ostro zaprotestował przeciwko tego typu kalumniom.

Prezydent Stanów Zjednoczonych traci nerwy. W USA ujawniono, dlaczego Reagan mógł wygrać pojedynek telewizyjny z Carterem w dniu 28 października 1980 r. Ludzie z jego sztabu kampanii wyborczej zdobyli cenny dokument: „ściągaczkę”, a w niej przygotowane przez sztab Cartera pytania i odpowiedzi na zasadnicze problemy będące przedmiotem owego słynnego pojedynku. Dokument zawierał główne punkty ataku Cartera przeciwko Reaganowi i główne punkty obrony przeciwko atakom Reagana. Był więc czas, aby przemyśleć, opracować i dostarczyć Reaganowi odpowiedniej amunicji słownej.

Po aferze Watergate wydawało się, że nie już nie może zadziwić. A jednak!

I kto to nas poucza? Człowiek, który zachowuje się jak słoń w składzie porcelany (używam kulturalnych określeń, choć ręka świerzbii).

27 VI Ze stopki redakcyjnej miesięcznika społeczno-kulturalnego „Barwy” zniknęło nazwisko Henryka Gaworskiego, nie ma też jego stałych wstępniaków na pierwszej stronie (aczkolwiek na stronach 8—9 jest jego opowiadanie pt. „Daleko”). Po odejściu Gaworskiego pismem włada jako... kierownik redakcji (jest to pewne novum w prasie, chociaż bywało, że ministerstwami rządził nie ministrowie, ale kierownicy...) Wiesław Rustecki. Zapewne z jego inicjatywy ukazały się w szóstym numerze wiersze Milivoja Slavička, jednego z czołowych poetów chorwackich. Wiersze pochodzą (i to ciekawostką!) z bibliofilskiej książki pt. „Terror”. Składa się ona z trzech części: wierszy w języku oryginału, tych samych wierszy w przekładzie na język polski i z 12 miedziorytów, zrobionych specjalnie dla tego wydania przez znanego malarza prymitywistę — Ivana Laskovića. Książka ukazała się w Zagrzebiu w 1981 r. w bibliotece ARBOR, 8. Jej nakład 57 egzemplarzy.

W tymże samym numerze „Barw” opowiadanie pt. „Dziwadło” pióra Wojysława Sekulića (przekład W. Rusteckiego). Wojysława Sekulića (rocznik 1933) od 1965 r. przebywa w Szwecji. Zaczął pisać mając lat 49. Redakcja tak prezentuje Sekulića: „Jesteśmy świadkami narodzin pierwszej fali literatury zarobkowych emigrantów, ich finansowej kariery i kulturowego nieprzystosowania. Już prawie Szwedzi, a jeszcze Jugosłowianie (Serbowie, Słowacy, Chorwaci itd.) odkrywają dramat tożsamości — społeczny skutek zachodnioeuropejskiej prosperity, a dzisiaj i kryzysu ekonomicznego”.

Zachęcam do lektury i gratuluję „Barwom” dobrego pomysłu.

M. A. Jaworski

Koleżance

Barbarze Gaban

Wyraży głębokiego współczucia
po stracie Ojca

składa zespół „Kamena”

KRONIKA

• Rolnictwo w regionie: na najlepszej drodze do dobrych zbiorów. Zniwa rozpoczęła się w tym roku wcześniej niż zwykle, mniej więcej za dwa tygodnie. Zboża „pobielaly”, kłosa pełne są ziarna; na skoszenie czeka ponad 769 tys. ha, więcej niż w minionych latach. Bardzo dobrze zapowiadają się też zbiory chmielu w Lubelskiem, co ważne, bo nasze województwo to główny ośrodek uprawy tej rośliny w kraju (choć nie dobrego nie można powiedzieć o tutajszym browarnictwie). Poza tym mnóstwo miodu, na który nie ma jednak

większego popytu ze względu na wysokie ceny w handlu detalicznym.

• Zespół inżynierów i naukowców z Puław opracował metodę poważnego obniżenia zużycia platyny w procesie wytwarzania kwasu azotowego, podstawowego surowca w produkcji nawozów sztucznych w Zakładach Azotowych (i nie tylko tam), za co otrzymał jedną z dorocznych nagród NOT. Nagrodę indywidualną i stopnia przyznano natomiast doc. Henrykowi Popko z Politechniki Lubelskiej za projekt homogenizatorów stosowanych w przemyśle spożywczym. Zanośił się na eksport tego urządzenia, produkowanego w bełżyckim „Spomazhu”.

• Ciagle nas wabią lampy naftowe, oczywiście te dawne, ozdobne, więc zrozumiałe, że lublinianie chętnie oglądają wystawę tych przedmiotów, urządzoną przez Muzeum Okręgowe dzięki uprzejmości bliźniaczej placówki z Krosna, która wypożyczyła 40 dziewiętnastowiecznych lamp lublińskich.

• Kryzys gospodarczy chyba naprawdę trochę zelżał, skoro do Kazimierza nad Wisłą

zjadzie za kilka dni 1100 uczestników kolejnego, siedemnastego Festiwalu Kapel i Spiewaków Ludowych. Takiego tłoku nie było nawet w latach tłustych naszego kraju. Mówi się, że autorska obsada targów sztuki ludowej, złączonych integralnie z imprezą, też będzie wielka (a ceny!), bo tkalnicy, rzeźby, malowidła i koronki (znów modne) zwiezie do miasteczka aż 66 twórców.

• W związku z remontem własnego budynku przy ul. Narutowicza 4 Biblioteka Wojewódzka zmuszona została do poszukiwania tymczasowego magazynu dla 250 tys. tomów, korzystając z pośrednictwa „Kurierza Lubelskiego”. Reakcja Czytelników gazety była natychmiastowa: odpowiedni budynek znaleziono; decyzja o jego przejęciu należy od prezydenta miasta. Opuszczają ludzi apatia.

• Ale dlaczego nikt z lokatorów domów przy ul. Rzeckiego 14 i 19 nie reaguje, kiedy ich dzieci brutalnie niszczą okoliczną ziemię? Ostatnio dzieciaczek ułamał wierzchołek pięknie wyrosniętego oskrzewia — za rok, dwa byłby prawdziwą ozdobą terenu —

i nikt palcem nie kiwnął! Zwątpiwszy w dobrą wolę mieszkańców informujemy, że za zniszczenie drzewka można zapłacić 20 tys. zł kary (albo więcej).

• Muzeum Kazimierza Dolnego konsekwentnie upowszechnia plastyczne kaminiernian, za co mu chwala. Niedawno w Galerii Letniej otwarto wystawę słynnych fotografií reportażowych Benedykta Jęrzego Dorysa, a teraz Włodzimierza Bartoszewicza, członka międzywojennej grupy „Szkoła Warszawska”, złożonej w tzw. drugiej generacji uczniów T. Pruszkowskiego. A pamiątkę państwu Książkę W. Bartoszewicza „Buda na Powiślu”?

• Konsekwencji nie brakuje też zamojskiemu BWA, które urządziło oto kolejną wystawę ogólnopolską „Dziecko w plakacie”. Autorami plakatów są m.in. Butenko, Erol, Grabiański (zmarł w 1980), Filsak, Kłaban, Lipiński (Eryk), Lutczyn, Swierzy, Urbaniec. Wystarczy!!

Działanie i... wyczekiwanie

SAD Wojewódzki w Lublinie na wniosek Komitetu Założycielskiego dokonał 19 listopada ub.r. rejestracji Związku Zawodowego Pracowników FSC.

Trzy miesiące później I Konferencja Programowo-Wyborcza zatwierdziła statut i wybrała władze związku. Niezależny, samorządny, liczący wówczas 1,5 tys. członków, mógł działać.

O krótkiej historii i dniu dzisiejszym organizacji związkowej (2,5 tys. członków wśród 10 tys. załogi) potentata polskiego przemysłu motoryzacyjnego mówi przewodniczący związku — BOLESŁAW JAKUBCZYK oraz członkowie prezydium: TADEUSZ SACZUK, STANISŁAW SCIRKA i STANISŁAW GWÓZDZ.

— Jak oceniacie panowie minione miesiące związkowej działalności?

S. SCIRKA: — Czujemy spory niedosyt, ale jednocześnie świadomi jesteśmy tego, co udało nam się zrealizować. Czasy, w których przyszło nam żyć i działać, wybitnie nie sprzyjają związkowej robocie. Kryzys rządzi się srogimi prawami. Istotnym elementem, mającym wpływ na efektywność naszej pracy, było i jest małe doświadczenie na tym polu działania. Większość członków związku to ludzie młodzi, zdobywający dopiero tak potrzebną rutynę. Wiele spraw, problemów, nurtujących naszą załogę, zdaliśmy pomyślnie doprowadzić do finału. Przykładowo — w okresie zimy pracownicy FSC nie musieli martwić się o obuwie. Rządziej chorowali, co dało w efekcie mniejszą absencję i większą produkcję. Z pewnymi „historiami”, mimo wielkich starań, nie poradziłyśmy sobie. Takim murem nie do przebiccia jest dla nas problem budownictwa mieszkaniowego. Mamy wrażenie, że wiele ważnych w tej materii osób mogłoby nam pomóc, a nie chce. Wybiegając nieco w przyszłość, liczymy na większą siłę przebiccia po powstaniu ponadzakładowej struktury związkowej w naszym resorcie.

B. JAKUBCZYK: — Chęci i zapału do pracy nigdy nam nie brakowało. Może stwierdzenie takie nie powinno paść z moich ust, ale taka jest po prostu prawda. Przez ostatnie dwa miesiące trzech etatowych członków zarządu z różnych względów było wyłączonych z pracy. Wprawdzie przysłowie mówi, że dobrze funkcjonujące przedsiębiorstwo może przez jakiś czas obejść się i bez dyrektora, ale związek jest zbyt młody, by mógł nie odczuć takiej absencji.

Ludzie obdarzyli nas dużym zaufaniem. Staramy się tak postępować, aby ich nie zawieść. Może nie zanotowaliśmy na swoim koncie błyskotliwych sukcesów, ale nie było chyba człowieka, który przestępując związkowe progi spotkałby się z brakiem życzliwości i zainteresowania. Nawet najdrobniejszy problem był przez nas szczegółowo analizowany i, w miarę możliwości, rozwiązywany.

T. SACZUK: — Trudno zdobyć się na w pełni obiektywną autoocenę. Przyjdzie czas, że zrobi to załoga. Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, który zasugerował już przewodniczący. Drobną sprawą interwencyjną. Złatwiłiśmy ich naprawę dużo. W 30 proc. przypadków działania nasze dotyczyły ludzi, którzy nie należą do związku. Można powiedzieć, że uprawialiśmy politykę małych kroków. Pomóc człowiekowi można nie tylko złatwiając mu mieszkanie, ale także „klóścąc” się dla niego o zaległą czternastą pensję.

— W czasie swojej pracy związek spotkał się na pewno z krytyką...

B. JAKUBCZYK: — Oczywiście. Nie wyobrażam sobie zresztą sytuacji, gdyby krytyka miała nie istnieć. Najłatwiej wówczas o wszelkiego rodzaju wypaczenia. W przeszłości mieliśmy ich zbyt wiele. Ludzie bardzo często przychodzą do nas i mówią: to mogliście zrobić inaczej. Postaramy się zorganizować dane przedsięwzięcie, aby uniknąć błędów. Członkowie związku dzwonią do prezydium i pytają, czy ustosunkowaliśmy się do tej lub innej sprawy. Odpowiadają korzystnie dla fabrycznej społeczności rozwiązania. Odczuwamy raczej troskę niż krytykę. Nasi liczni sprzymierzeńcy rozumieją trudności, na jakie napotykamy i brak doświadczenia, który często mści się na podejmowanych działaniach.

S. SCIRKA: — Kiedy kilku z nas ze względu na osobistych nie mogło wypełniać swoich obowiązków, „tyczliwi” pytali — czy już ogarnęło nas zmęczenie. Przykre słowa, ale przecież nie sposób wziąć ich poważnie do serca. Nie na takiej krytyce nam zależy. Zaobserwowałem, że najwięcej

cierpkich słów padło dotychczas pod adresem władz związku od ludzi niez zaangażowanych w żadną robotę, od takich wyczekujących, co się stanie. Pomóc nie chcą, uśmiechać się i drwić potrafią. Przykre.

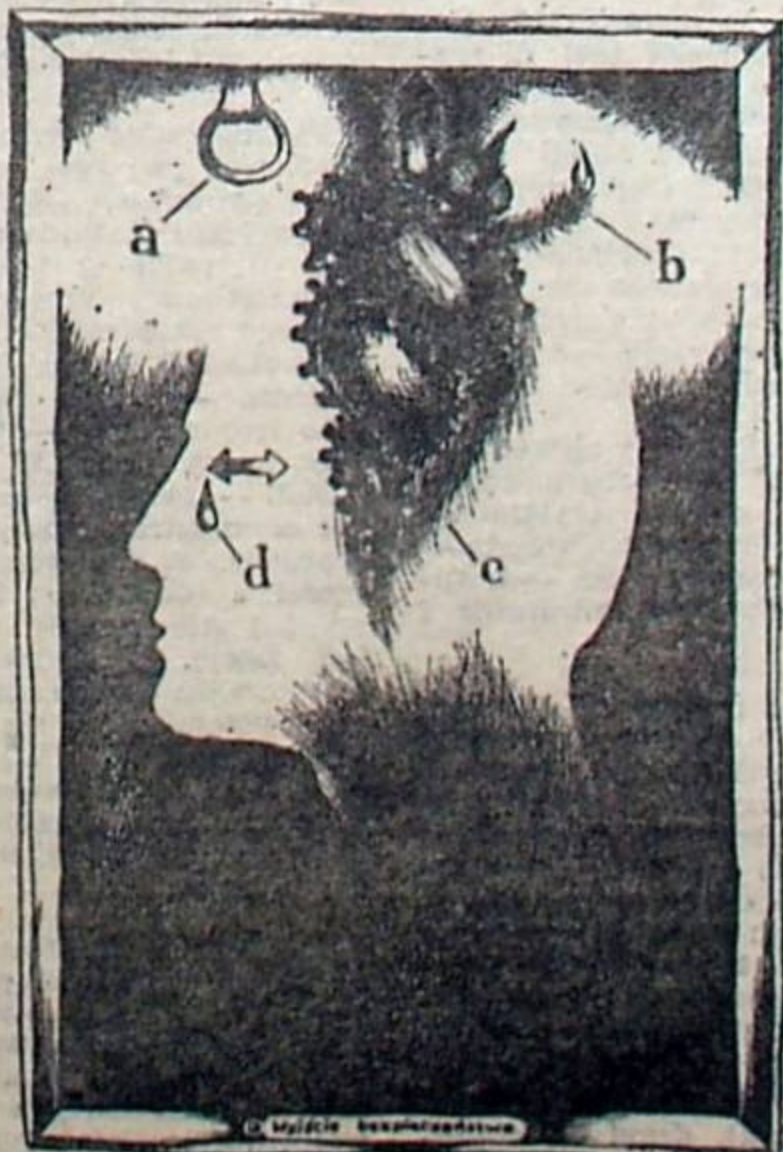
— Jak układa się współpraca na linii związek — pozostałe organizacje społeczno-polityczne? Myślę oczywiście o płaszczyźnie wewnątrzzakładowej.

S. GWÓZDZ: — Zaczęć może od refleksji trochę ogólniejszej natury. Niektórzy spośród pracowników fabryki liczą na zmianę istniejącej sytuacji. Spodziewają się oni związku pluralizmu. Nie zdają sobie sprawy, że żadna władza nie dopuści do tego, co było przed Grudniem. Kto chce naprawdę działać na forum związkowym, ma ku temu pełne możliwości w obecnym kształcie ruchu. Ci, którzy czekają na inny związek, pragną chyba roboty, która z interesem załóg nie ma nic wspólnego.

Lubię i cenię młodzież za jej otwartość i szczerość, nie podoba mi się jednak pasywność, z jaką podchodzi ona do wielu spraw. Młodzi narzekają na niskie zarobki, brak mieszkań, ale sami robią niewiele, by zmienić rzeczywistość. Nie rozumieją, że tylko biorąc swoje sprawy we własne ręce mogą do czegoś dojść. Ruch związkowy stwarza wręcz idealną możliwość działania. Trzeba tylko chcieć. Ponoć, gdy się ma dwadzieścia kilka lat, można dzięki zapałowi i energii działać wiele. Czy tylko w teorii?

Jestem bezpartyjny. Dostrzegam jednak dobry klimat, jaki dla naszej działalności stworzyła w fabryce partia. Niepokoi mnie jednak zbyt duża liczba członków tej organizacji, którzy pozostają bierni wobec związkowej działalności. Nie wiem, gdzie tkwi przyczyna takiego stanu rzeczy. Wiem natomiast, że powinniśmy mieć jeden wspólny cel — dobro socjalistycznej Polski. Kontynuując dalej tę myśl uważam, iż członkostwo w partii zobowiązuje m.in. do aktywnego działania w ruchu związkowym.

Kolejną „siłą” zakładową, której chciałbym poświęcić kilka słów, jest samorząd. Zdajemy sobie chyba sprawę, że na nich i na nas spoczywa ciężar wyprzedzania kraju z kryzysu, przynajmniej w mikrosocjalistycznej skali. Związek zawodowy przejawia szczerą chęć współpracy z samorządem. Istnieje jednak jakaś niczym nie uzasadniona nieufność. Dziwi to tym bardziej, gdy weźmie się pod uwagę fakt, iż w organach samorządu znajduje się wielu byłych działaczy związku. Czyżby nie zależało im na pracy pod jednym sztandarem dla dobra fabryki? Sądzę, że sytuacja ta w niedługim



Rys. Zygmunt Pytlak

czasie powinna ulec zmianie, po prostu nie ma innej drogi.

S. SCIRKA: — Wydaje mi się, że idealnej harmonii w działaniu z samorządem nie osiągniemy nigdy. Z natury rzeczy występujemy jako rzecznicy różnych interesów, na dwóch skrajnych biegunach. My reprezentujemy pracowników, oni pracodawcę. Ważne jest, abyśmy umieli się dogadać w sprawach o zasadniczym znaczeniu dla załogi. Tu postawy muszą być co najmniej do siebie zbliżone.

Nie mówiliśmy o współpracy z dyrekcją fabryki. Dotychczas układa się ona bardzo dobrze. Najbardziej otwarcie na problemy związku są dyrektor naczelny i dyrektor ds. pracowniczych. My, a poprzez naszą działalność pracownicy, dużo im zawdzięczają. Z takim zrozumieniem chcielibyśmy się spotykać na każdym kroku.

B. JAKUBCZYK: — Tarcia są nie do uniknięcia. Chodzi o to, abyśmy na zewnątrz występowali jako monolit. W tym nasza siła i dobro załogi.

— Padło stwierdzenie o wychodzeniu na zewnątrz z problemami związkowymi. Jak rysują się dotychczasowe doświadczenia na tym polu?

T. SACZUK: — Generalnie trzeba stwierdzić, iż zarówno z władzami miejskimi jak i wojewódzkimi znaleźliśmy wspólny język. Artykuły trudno dostępne, działki pracownicze, kłopoty przemysłowej służby zdrowia, to tylko niektóre sprawy, jakie dzięki pomocy „góry” udało nam się ruszyć z miejsca. W wielu jednak wypadkach dominują stare nawyki uniemożliwiające już na samym początku złatwienie często drobnych, acz docuczyliwych ludzkich bolączek: stopy anachronicznych przepisów i ta zasada: „jutro, kolega” jakże powszechna w funkcjonowaniu naszej administracji.

B. JAKUBCZYK: — Wiąże duże nadzieje z powstaniem ponadzakładowej struktury związkowej. Prace organizacyjne nad powołaniem federacji są już bardzo zaawansowane. Związek nasz wie gdzie w tej działalności prym. Bardzo nam zależy na powołaniu do życia w naszym resorcie silnej organizacji związkowej. Wierzymy, że pozwoli ona na skuteczniejsze działanie i efektywniejsze złatwianie spraw interesujących całą społeczność przemysłu motoryzacyjnego.

— Co zdaniem związku należałoby zmienić w FSC, aby zakład produkował więcej, a ludzie osiągnęli wyższe zarobki?

S. GWÓZDZ: — Irytuje mnie wyczekująca postawa średniego dozoru technicznego i administracji. Powtarzam już któryś raz słowa — wyczekująca postawa, ale jest to najbardziej trafne określenie na jakąś działalność niektórych ludzi. Ci, o których mówię w tej chwili, muszą zdać sobie sprawę, że oprócz wykonywania powierzonych im obowiązków mają do spełnienia jeszcze inną rolę. Swoją postawą moralną, społeczną zaangażowaniem mogą zjednać sobie robotnika lub pozbawić się zupełnie w jego oczach autorytetu. Człowiekowi obsługującemu maszynę lub siedzącemu za biurkiem naprawdę nie jest obojętne, kto nim kieruje czy zarządza. Związkowi bardzo zależy, aby prawdziwie tę uświadomili sobie spore grono pracowników.

S. SCIRKA: — Wiele mówi się o sposobach zwiększania wydajności pracy. Niestety, poza organizacją i dyscypliną pracy nie potrafimy dostrzec innych elementów zwiększających wydajność. A gdzie postęp techniczny, o którego kolo-salnej roli było tak głośno w latach siedemdziesiątych? Fabryczna kadra inżynierjno-techniczna śpi. Dlaczego automatyzacja produkcji przebiega tak opornie? Skoro narzekamy na brak rąk do pracy, pomyślmy nad ich zastąpieniem, postawioną na wyższym poziomie techniką. Już w najbliższym czasie będziemy musieli wstydzić się przed robotnikami. To nie międzywojenne czasy, kiedy z wdzięczności za kawałek chleba człowiek wykonywał byle jaką robotę przy kiepskiej maszynie. Teraz co drugi robotnik ogląda telewizyjną „Sondę”, kupuje czasopisma popularnonaukowe, interesuje się technicyzacją produkcji. Robotnicy śmieją się z kadry inżynierjno-technicznej. We własnym i nas wszystkich interesie powinna starać się ona zmienić tę niekorzystną opinię.

T. SACZUK: — Chciałbym stanąć w obronie atakowanych przez moją przedmówcę kolegów. Wiem z własnego doświadczenia, w jakim stopniu wykorzystywane są umiejętności absolwentów wyższej uczelni, w interesującym nas przypadku inżyniera. 20 proc. swojego czasu pracy przeznaczają na zajęcia zgodne ze swoim fachem, pozostałe 80 na inne, zupełnie dodatkowe czynności. Stare nawyki, w myśl których na przykład dobry kreślarz to ten, który stoi osiem godzin za deską, uniemożliwiają postęp. Dopóki nie uwolnimy się od pewnych schematów w myśleniu i działaniu, rozwój myśli technicznej nie ma wielkich perspektyw. A przecież w dobie reformy gospodarczej zależy od niej wiele.

B. JAKUBCZYK: — Poruszyliśmy kilka spraw, które dostrzeżliśmy podczas naszej krótkiej związkowej działalności. Śmiem twierdzić, że gdybyśmy wszyscy wzięli się ostro do roboty, cud byłby możliwy. Może nie na miarę Japonii, ale na pewno na miarę aspiracji każdego uczciwie pracującego Polaka.

— Dziękuję panom za rozmowę.

Rozm.: Artur Borkowski

NA samym początku lat sześćdziesiątych uratowała „Kamena” przed zagładą nowo powstała „unia kulturalna czterech województw”: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, zwana niekiedy przez złośliwców „kieszonkową Unią Lubelską”.

W 1961 r. nad polską kulturą zaczął wzbierać kolejny podmuch centralizmu. Mówiło się m.in. o potrzebie likwidacji niektórych „nierentownych” czasopism kulturalnych; widmo kasacji zawisło również nad „Kamena”, która — po reaktywowaniu jej w 1952 r. jako pisma Lubelskiego Oddziału ZLP — teraz właśnie osiągnęła wyrównany poziom i zgromadziła spory zastęp młodych współpracowników (Jerzy Ludwiński, Zdzisław Jastrzębski, Tadeusz Klak, Edward Stachura, Andrzej Tchórzewski, Henryk Pająk), choć pod względem finansowym nadal vegetowała na dotacji Wydziału Kultury WRN. Chodziła nawet po środowisku lubelskim nie pozbawiona cech prawdopodobnie plotka, że „Kamena” przestanie się ukazywać z dniem 1 stycznia 1962 r. Pamiętam to doskonale, bo miałem „napięty” od nowego roku etat w „Kamieniu” i moje nadzieje zaczęły walić się w gruzy.

Tymczasem nagle wszystko się odmieniło jak za dotknięciem różdżki czarodziejki: „kieszonkowa Unia” potrzebowała swojego periodyku, organu odzwierciedlającego poczynania artystyczne i kulturalne w czterech wschodnich województwach. I takim właśnie pismem stała się „Kamena”. Zawdzięczać to należy przede wszystkim szeregowi zręcznych manewrów taktycznych Marii Bechzy-Rudnickiej, która potrafiła w odpowiednim momencie błyskawicznie „chwycić wiatr w żagle”. Ale nie byłoby to z kolei możliwe bez zrobienia kilka miesięcy wcześniej pierwszego kroku, który należało do Olka Gabrusiewicza, usiłującego znaleźć w Białymstoku jakiś sensowny dla siebie modus vivendi...

Olka zawsze fascynował teatr. Marzył o reżyserii. Dlatego, studiując na razie polonistykę na UMCS w Lublinie, brał bardzo czynny udział w studenckim życiu teatralnym, był współzałożycielem wzorowanego na krakowskiej „Piwnicy” kabaretu „Sex”, próbował krytyki teatralnej, pracę magisterską pisał na temat dramatów Szaniawskiego. Po uzyskaniu magisterium musiał jednak wracać do matki mieszkającej samotnie w Białymstoku. I w ten sposób marzenia o warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej zaczęły coraz bardziej odpywać w stronę dal.

Białystok w owych latach przyjmował wszystkich humanistów z ukończonymi wyższymi studiami szczególnie serdecznie. Po prostu — nie było ręk do pracy „w kulturze”. Słynny na pół Polski był casus kierownika Klubu MPiK w Białymstoku, człowieka z tak zwanego awansu społecznego — zresztą sympatycznego, siwowłosego kompana przy kieliszku — który, przedstawiając pewnego razu publiczności przybyłego z Warszawy na wieczór autorski poetę starszego pokolenia, uświadomił sobie nagle, że nie wie, jak brzmi nazwisko gościa. Wygłosiwszy zatem sakramentalne: „Droży Państwo Witamy serdecznie przybyłego do nas znanego poety” — zwrócił się do siedzącego już przy stoliku mistrza: — „Nu, jak godność, znaczy siiii...? Jak siiii, nazywaciii, a...?” — „Władysław Broniewski” — odparł zgodnie z prawdą zapytany. „Nu, Broniewski on siiii, ówże nasz poeta nazywa...” — zakończył prezentację kierownik.

Olek Gabrusiewicz zaczął pracować w Wojewódzkim Domu Kultury, próbował sil jako asystent reżysera w miejscowym teatrze dramatycznym, był jednym z założycieli powstałego na przełomie 1959 i 1960 r. Białostockiego Teatru Propozycji. Działal tam jako kierownik artystyczny i reżyser, realizując m.in. przedstawienie „Widoku z mostu” Arthura Millera.

W tym właśnie okresie znacznego ożywienia białostockiego środowiska zaczęły się podnosić głosy o potrzebie powołania w Białymstoku pisma społeczno-kulturalnego. Był to, niestety, pomysł zupełnie nierealny. I wtedy Olek wpadł na myśl, żeby zwrócić się do redakcji „Kamienia” z propozycją współpracy.

„Kamena” użyczałaby co pewien czas Białostokowi kilku kolumn — związane z tym przedsięwzięciem ko-

zły pokrywalby białostocki Wydział Kultury WRN. Zysk z takiej operacji byłby obopólny: Białystok miałby swoją kulturalno-społeczną „wkładkę”, zaś „Kamena” — zwiększony obszar czytelniczy. Oczywiście zbiegło się to z narastającymi już coraz bardziej tendencjami zawiązania „unii kulturalnej czterech województw”.

Pisał później na temat „unii” — już po zawarciu umowy o współpracy — Lesław Gnot na łamach „Kamienia” z 30 listopada 1961 r., w artykule „Nowa Unia Lubelska”: „Wiadomo na przykład powszechnie, że zarówno Białystok, jak i Rzeszów i Kielce toczą długą batalię o stworzenie regionalnych pism społeczno-kulturalnych. Niestety, wiadomo również, że przy aktualnym deficycie papieru, słabości bazy poligraficznej itp. starania te nie rokuja większych nadziei. Z drugiej strony lubelska „Kamena”, nakreślając sobie

społecznym, dyrektorem słynnego Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy koło Jędrzejowa. Nic dziwnego, że każdy z nich inaczej rozumiał swoją rolę w „Kamieniu” i inaczej widział problemy reprezentowanego przez siebie województwa. A to z kolei nie mogło nie odbijać się na sposobie redagowania pisma i na publicystyczno-artystycznej linii „Kamienia”.

Najściślej związany był z Lublinem Jerzy Pleśniarowicz. Spędził tutaj dzieciństwo i młodość. Tu zdawał maturę w Gimnazjum im. Stanisława Staszica, potem studiował na KUL-u, pracował w Resorcie Kultury i Sztuki PKWN i stąd wyemigrował wreszcie do Rzeszowa, aby objąć stanowisko kierownika literackiego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, a później także funkcję reżysera.

Mając siedemnaście lat, zadebiuto-

nym uczniem profesora Kleinera. Ale — choć miały kolejne semestry — wciąż nie przystępował do egzaminu u Profesora. Tłumaczył się przed nim, że jeszcze za mało wie, musi się tego i owego nauczyć... Wreszcie prof. Kleiner, widząc że inaczej sobie z Pleśniarowiczem nie poradzi, wyciągnął go na wspólny spacer i wdał się w dyskusję o literaturze. Pod koniec spaceru wyciągnął rękę na pożegnanie, jednocześnie oświadczył: „Dziękuję za przechodkę. A egzamin pan u mnie właśnie zdał. Na piątkę”.

Jerzy Pleśniarowicz był doskonałym pływakiem. Ile razy latem wpadł do Lublina, zawsze pojawiał się — po załatwieniu spraw redakcyjnych — na besenie (dziś już nieczynnym) przy Gimnazjum im. Staszica: w wodzie jego masywne ciało nabierało lekkości i zwinności. Ale nawet woda niezdolna była zahamować nie kończącego się po-

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (10)

Waldemar i towarzysze

Mirosław Derecki



ambitne plany mocniejszego powiązania z życiem, podniesienia poziomu pisma, czuje potrzebę wyjścia poza lubelskie podwórko, rozszerzenia zarówno bazy czytelników jak i autorów o sąsiednie — pokrewne środowiska. Tak więc mariaż ten wydaje się jak najbardziej korzystny dla obu stron”.

Podobne korzyści widział Gnot we współpracy teatrów, środowisk muzycznych, w zwiększeniu możliwości wydawniczych. I kończył artykuł słowami: „I dlatego współpraca kulturalna 4 województw, choć nie jest nową wersją „Unii Lubelskiej”, na pewno zasługuje na poważne potraktowanie. Płynące stąd korzyści będziemy w stanie ocenić dopiero po pewnym czasie, ale już dziś wiadomo, że będą one niemałe”.

Związany następnie na szereg lat z winiętą „Kamienia” podtytuł: „Lublin — Białystok — Kielce — Rzeszów” pojawił się po raz pierwszy w rozpozycywanym kolejnym numerze dwutygodnika z datą 15 stycznia 1962 r. Ale już kilka miesięcy wcześniej zaczęły się na łamach pisma pojawiać „autonomiczne kolumny” regionalne opatrzone winiętami: „RZESZÓW”, „BIAŁYSTOK”, „KIELECKIE”. A jeszcze wcześniej, w numerze 19 „Kamienia” z 15 października 1961 r., znalazły się cztery strony prezentujące problemy województwa białostockiego. Nadytuł na fioletowej amplii głosił: „MÓWI BIAŁYSTOK” i opatrzone był nawet herbem stolicy województwa. Tę pierwszą, białostocką „wkładkę” redagował Olek Gabrusiewicz. On też został następnie przedstawicielem „Kamienia” na Białostocczyźnie i wszedł w skład kolegium redakcyjnego.

Dzięki „unii czterech województw” zyskała „Kamena” za jednym zamachem ogromny obszar czytelniczy, wzbogaciła się o nowe pióra, weszła — dzięki swym przedstawicielom — w zupełnie nowe środowiska kulturalne i artystyczne.

W Białymstoku rezydował jako redaktor „Kamienia” Aleksander Gabrusiewicz, w Rzeszowie — Jerzy Pleśniarowicz, na Kielecczyźnie reprezentował pismo Waldemar Babinicz. Wszyscy byli w jakiś sposób związani uprzednio z Lublinem, natomiast rozrzut wiekowy był ogromny: Gabrusiewicz był tuż po studiach i liczył lat dwadzieścia sześć, Pleśniarowicz należał do pokolenia Kolumbów, Babinicz zbliżał się do emerytury. Pierwszy był świeżo upieczonym humanistą podatnym na artystyczne nowinki, drugi — doskonale niegdyś zapowiadającym się poetą, który następnie poświęcił się reżyserii teatralnej, trzeci — publicysta, prozaik, pedagogiem i działaczem

wał w „Pionie” wierszem „Ballada ulańska”. W niespełna dwa lata później, w 1939 r., Hośick wydał mu tomik poetycki „Śpiew pierwszy”. Był już wówczas Pleśniarowicz laureatem pierwszej nagrody w zorganizowanym przez Polską Akademię Literatury konkursie poetyckim dla maturzystów.

Tak oto zapamiętał go z lat szkolnych Zygmunt Mikulski w swej wspomnieniowej książce „Tamten Lublin”: „Są dzieci przedwcześnie uzdolnione w dziedzinie muzyki. Pleśniarowicz był Mozartem inteligencji. Właśnie ten piętnastoletni. Stwierdzam to niezależnie od faktu, że późniejsze doświadczenia osób innych mogą w tych słowach widzieć tylko przesadę. [...] „Kroil” własną osobowość, autokreował się wewnątrz z trafnością, jakiej nie osiągnąłby sam skutek wychowawczy. [...] A już w kursie języka polskiego szedł własnym krokiem. To nie było celujące sekundowanie podręcznikowi. To było permanentne seminarium u Brücknera, Chrzanowskiego, Chlebowskiego, Pigionia i Pilata równocześnie, a przede wszystkim pełen energii i bezbłędnej pewności rejsu po zagadnieniach daleko wykraczających poza zasięg choćby najbystrzejszej uczniowskiej pojętności. Było to coś jak nowy przedmiot w programie szkolnym. Nawet nam niedostępny”.

Pleśniarowicz jeszcze przed wojną drukował pierwsze wiersze w chełmskiej (wówczas!) „Kamieniu”. Kiedy po wyzwoleniu Kazimierz Andrzej Jaworski wznawiał w Lublinie „Kamena”, ukonstytuował zespół redakcyjny, w którego skład miał — poza nim samym — wchodzić jeszcze Jacek Bocheński i właśnie — Jerzy Pleśniarowicz. „W tym triumwiracie — wspominał po latach na stronach „W kregu „Kamienia” K.A.J. — Jacek Bocheński miał się zająć administracją pisma i wraz z Pleśniarowiczem dostarczać do not wiadomości z lubelskiego życia kulturalnego. [...] Ale „zespół” w rzeczywistości był fikcją. Bocheński pomagał przy drukowaniu trzech pierwszych zeszytów, potem zajął się redakcją lubelskiego „Światła”. [...] Wreszcie przenosił się do Warszawy. Cała pomoc Pleśniarowicza ograniczyła się do zamieszczenia krótkiej notatki w jednym tylko numerze”.

Oto cały Pleśniarowicz! Błyskotliwy, niezwykle inteligentny, erudyta, artysta rokujący najwyższymi nadziejami, i nagle coś się w nim rozmywa, czegoś nie doprowadza do końca, spala się w tyśniętach nachodzących go pomysłów i wątpliwości, ginie w nadmiarze własnej elokwencji...

W czasie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim był ulubio-

toki wymowy pana Jurka. Kiedyś pływał za mną długo „klasykiem” i za każdym razem, po wynurzeniu głowy z wody, częstował mnie kolejnym zdaniem jakiejś swojej opowieści. Prawdę powiedziawszy, było to mniej męczące niż wówczas, kiedy przytrzymywał w czasie rozmowy delikwenta za kłapy marynarki, żeby mu ten przypadkiem nie uciekł...

Był Pleśniarowicz doskonałym przekładowcą — tłumaczył poezję i prozę z wielu języków: z rosyjskiego, ukraińskiego, czeskiego, słowackiego, a także z francuskiego. Był też autorem licznych adaptacji scenicznych, m.in. utworów Czechowa i Gorkiego. Po jego śmierci ukazał się obszerny tom tłumaczeń wierszy z języków słowiańskich.

Jako przedstawiciel Rzeszowszczyzny w „Kamieniu” czterech województw Pleśniarowicz działał niezbyt wiele. Otrzymał właśnie w tym czasie stypendium rządu francuskiego na studia w Instytucie Teatralnym Sorbony; odbywał równocześnie praktykę reżyserską w Théâtre National Populaire. Siedział przez chyba półtora roku w Paryżu, a w sprawach redakcyjnych zastępowała go żona, Blanka. Ta długotrwała nieobecność spowodowała, że w końcu zastąpił go, na stałe, w „Kamieniu” — kto inny.

Na kolegia redakcyjne przywoził zwykle ze sobą pan Jurek kolejne płody literackie znanego rzeszowskiego pisarza Romana Turka (nie wiem dotąd, czy tak uwielbiał jego twórczość, czy też nie miał czasu na organizowanie innych materiałów, a Turka widocznie stał się „pod ręką”?). Najgłośniejsz z tego podmiemwał Konrad Bielski.

Popatrywał na to krytycznie Waldemar. Ale nic nie mówił. Zabraniało mu tego poczucie własnej godności, którą cenil sobie bardzo wysoko jako Pisarz oraz Działacz.

Z całej drobnej figurki Waldemara, z jego twarzy obciążonej cienką, pergamin przypominającą skórą, zaprasowanych idealnie „na kant” spodni i wycyzszczonych „na lustro” czarnych półbutów biła powaga i odpowiedzialność, jakie powinny cechować człowieka pióra... Babinicz nie darzył mnie szczególną sympatią od momentu, kiedy nazwałem go w rozmowie z kimś znajomym „Waldemarem, ordynatem Rożnickim”. To sparafrazowanie tytułu znanej powieści Heleny Mniszek odebrał dyrektor Uniwersytetu Ludowego jako przytyk do poziomu jego literackiej twórczości. Co zresztą nie było prawdą. Po prostu — tak mi się powiedziało.

Miejsce gdzie jest się u siebie

Krzysztof Wiczorek

Po prawdzie to Babinicz pochodził z Kowla i nie był — oczywiście — żadnym ordynatem, tylko synem tamtejszego notariusza. Do szkół uczęszczał w Chełmie i w Lublinie, należał przed pierwszą wojną światową do harcerstwa, a w czasie wojny — do P.O.W. W latach II Rzeczypospolitej studiował romanistykę na KUL-u i w Wilnie, a następnie został nauczycielem w szkołach ogólnokształcących oraz rolniczych. Na kilka lat przed wybuchem ostatniej wojny przeniósł się do Warszawy i pracował jako dziennikarz. Za czasów okupacji znów wrócił do zawodu nauczycielskiego. Prowadził na Kielecczyźnie tajny Uniwersytet Ludowy. Po wyzwoleniu zorganizował Uniwersytet Ludowy w Rożnicy, którego został dyrektorem.

Rożnicę poświęcił Babinicz kilkadziesiąt lat. Była to jego pasja życia — owo kształcenie młodzieży wiejskiej na pracowników świetlic i klubów, na ludowych działaczy kultury. Tutaj również czerpał tematy do swoich książek.

Pisał o twórczości Babinicza Włodzimierz Maciąg: „Większość dorobku Babinicza związana jest z doświadczeniami nauczyciela i działacza kulturalnego na wsi w latach powojennych. Wiesz, jako środowisko awansujące, przelamujące stopniowo stare tradycje i nawyki ambicje młodego pokolenia — oto sceneria pracy Babinicza i zarazem problematyka jego reportaży”.

Debiutował bardzo późno, bo po pięćdziesiątce, w 1954 r., tomem opowiadań „Zapalone pochodnie”. Znamy stał się po „Listach z parafii” — znowu: tomie opowiadań-reportaży, gatunku bardzo charakterystycznego dla jego twórczości. Potem już co roku albo i częściej ukazywała się kolejna książka — powieść lub zbiór reportaży. Jakby chciał nadrobić utracony czas: „Apostołowie”, „Obecny”, „Za ścianą”, „Róże wieszni”, „Drzazgi”, „Fontanna”. Ostatni tom wydany przed śmiercią nosił tytuł: „Zaczarowane lasy”. Już po śmierci Waldemara Babinicza, w 1970 r., ukazała się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego jego ostatnia książka — „Wyznanie po ślubie”.

Był autorem niezwykle płodnym. W ciągu piętnastu lat wydał dwadzieścia książek, nie mówiąc o licznych publikacjach w periodykach kulturalnych.

Dużo także pisał o nim samym. Jako że reprezentował atrakcyjny zawód, i trochę egzotyczny — dla związanych wszak głównie z miastem, dziennikarstwo i krytykę literacką — typ nauczyciela-literata z prowincji, męskiej „Silaczki”, której udało się zrealizować swoje idee szerzenia „oświaty kagańca”.

Wynikała poza tym z pisarstwa Babinicza opinia antyklerykała i przesłaniewcy z „religijnej ciemnoty” (notabene miał serdecznego przyjaciela, księdza, który wiele mu wybaczał) oraz kojące, dla niektórych, przeświadczenie, że wieś polska składa się na ogół ze zdrowych moralnie i psychicznie, otwartych na świat, socjalizm i kulturę, młodych ludzi.

Gościnność Babinicza była znana w środowisku literackim i w Rożnicy odbywały się niejednokrotnie sympozja gromadzące najbardziej znakomitych polskich pisarzy.

Jako przedstawiciel „Kamenu” patronował Waldemar Babinicz młodej kieleckiej grupie literackiej „Ponidzie” (m.in. Beata Batuk, Ryszard Fatyga, Stanisław Gień, Henryk Jachimowski, Ryszard Miernik), która jednakowoż po pewnym czasie zaczęła czynić starania w celu wyzwolenia się spod literackiej kurateli dużo starszego kolegi po piórze. W samej zaś redakcji był Babinicz dodatkowo ceniony za swoje rozliczne „chody” ministerialne, wśród ludzi pióra i działaczy kultury najwyższego szczebla.

Miał też wielu wrogów. Toteż w 1968 r. postarali się oni, żeby Babinicz opuścił Rożnicę. Osiedlił się w Naleczowie, ale długo już nie pożył. Zmarł w następnym roku w lubelskim szpitalu na serce.

Także na serce zmarł, przed kilku laty, Olek Gabrusiewicz. On, z kolei, zawędrował w końcu na Kielecczyznę...

*

„Unia kulturalna czterech województw” okazała się, w przypadku „Kamenu”, przedsięwzięciem korzystnym. Data pisma podstawy bytu, wzmocniła jego pozycję i jego znaczenie. Po kilku latach podtytuł „Lublin — Białystok — Kielce — Rzeszów” zniknął jednak z winiety. Po prostu nie był już potrzebny. W województwach „ościenych” powstały nowe, „własne” periodyki społeczno-kulturalne, z doskonałymi białostockimi „Kontrastami” na czele.

„NIEBO gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie” — pisał przed laty jeden z najbardziej wybitnych filozofów nowożytnych, Immanuel Kant. Wielu z nas dziś jeszcze tak właśnie wyobraża sobie filozofa: kroczący z głową wysoko nad chmurami, zatopiony w kontemplacji niedostępnych bezkresów gwiazdzistego nieba i nieodgadnionego wnętrza własnej psyche — śmieszny i niepotrzebny marzyciel. Podobny obraz kreśli nie bez ironii hiszpański myśliciel, José Ortega y Gasset: filozof jako „medio transparente” — przezroczysty duch, nieustannie równy samemu sobie, nie podlegający żadnym zmianom, istniejący gdzieś poza życiem i poza historią. Dla dopełnienia tej charakterystyki można jeszcze sparafrazować pierwsze słowa „Manifestu Komunistycznego” Marksa i Engelsa: „Widmo krąży nad Europą; widmo filozofa”. Czy tak jest naprawdę?

Filozofię można uprawiać na różne sposoby. Wyżej naszkicowany obraz czerpie swe natchnienie przede wszystkim z pierwszej połowy XIX wieku, która w filozofii była okresem tworzenia wielkich, spekulatywnych systemów idealistycznych. Filozof był wówczas rzeczywiście kimś „gardzącym pospolitym tłumem”, wznoszącym się ponad codzienność, budującym na wyżynach abstrakcji zawiłe konstrukty myślowe. Ale w drugiej połowie XX stulecia możemy — i powinniśmy! — sięgnąć po wzór odmienny. Istnieje inna koncepcja filozofii, stara jak sama „filozofia”: ta właśnie nazwa, użyta — jak twierdzi Ciceron w „Tusculanae disputationes” — po raz pierwszy przez Pitagorasa z Samos w VI w. p.n.e., oznacza nie innego jak „umiłowanie mądrości”. Mądrości, czyli wiedzy dogłębnej, praktycznej i zaangażowanej, będącej ostatecznie uzasadnionym i gruntownym zgłębieniem sensu świata i życia, a jednocześnie umiejętnością stosowania tej wiedzy w postępowaniu i tym samym zajmowaniem najwłaściwszej postawy życiowej. Ma zatem być filozofia — jak pisał Aleksander z Hales — „sapientia ut scientia” (mądrością nauk); ma być, jak uczono w średniowieczu, pierwszą i najdoskonalszą spośród „artium liberalium, quia homines liberos faciunt” (sztuk wyzwolonych, które wolnym czynią człowieka). W szczególności — ma być „wyzwalaniem człowieka spod ucisku wszelkiej nie immanentnej dla niego transcendencji”. Odczytajmy te słowa

Stanisława Grygiela, nadając im sens zgodny z etymologią: „transcendere” znaczy „przekraczać”, a w ślad za tym „immanentna dla człowieka transcendencja” to zdolność i potrzeba przekraczania samego siebie, która realizuje się w procesie autokreacji. Oznacza to, że ostatecznego sensu człowieka należy szukać w nim samym. Uprawiać filozofię w myśl tej koncepcji to znaczy — „studere humanitati”: uczyć się człowieczeństwa.

Ale człowiek to nie tylko soma i psyche; to również świat człowieka — rzeczywistość „dana” i „zadana”. Ta, która zastaje, kierując ku niej swoją aktywność poznawczą, i ta, którą tworzyć może, chciałby, powinien — wspólnym wysiłkiem woli, mięśni i rozumu. Dlatego podstawowym zadaniem filozofii jest dążenie do pełnego zrozumienia człowieka w całokształcie powiązań i relacji łączących go ze światem. Nie ucieczka w abstrakcję, nie poszukiwanie Pierwszego Poruszczenia jak Arystoteles, czy Ducha Dzieł jak Hegel, lecz uważne pochylenie się nad codziennym życiem każdego z nas. Zrozumieli to filozofowie, których „widma” unoszą się dziś nad Europą: Karol Marks, który jedną z centralnych kategorii materializmu historycznego uczynił kategorią „praxis” — nieustannie człowiekowi towarzyszący splot procesów praktyki społecznej konstytuujący zarówno swój podmiot, którym jest człowiek, jak i swój przedmiot, którym jest świat człowieka; Edmund Husserl, który swą fenomenologiczną metodę „filozofii bez założeń” oparł na analizie bezpośredniego doświadczenia, którego źródłem jest „Lebenswelt” — świat życia codziennego; Martin Heidegger, dla którego punktem wyjścia refleksji egzystencjalnej jest rzeczywistość „in-der-Welt-sein” — „bycia-w-świecie”; José Ortega y Gasset, dla którego „radikalną rzeczywistością” (realidad radical) jest życie ludzkie pojmowane jako „wrażliwość, wkorzenie w świecie”, nawiązywanie z nim nierozdzielnych więzów. Zadanie rozumienia rzeczywistości stało się celem dążeń tak znakomitych myślicieli, jak historykolog Wilhelm Dilthey, socjolog Max Weber i jego przyjaciel Georg Simmel; twórcy nowoczesnej hermeneutyki (czyli sztuki rozumienia i odczytywania symboli) Paul Ricoeur i Hans Georg Gadamer; filozofowie analityczni, którzy chcą dotrzeć do wiedzy o świecie poprzez dogłębne zrozumienie języka, bę-

ącego świata obrazem — najwybitniejsi z nich to George Edward Moore, Alfred Jules Ayer, John L. Austin — i wielu innych. Te poszukiwania stanowią próbę odpowiedzi na pytania stawiane przez dzień dzisiejszy.

Minął dla filozofii „okres ochronny”: czas spekulowania i akademickiej doświadczenia. Nadszedł czas działania. Filozofia ma dziś ściśle określone miejsce w „świecie człowieka” i konkretne zadanie do spełnienia. Starożytni uznawali historię za nauczycielkę życia: „Historia magistra vitae est”. My zaś pozwólmy filozofii zostać w naszej klasie wychowawczynią. Bo, jak pisze St. Grygiel, „być wychowanym to otrzymać horyzont, któremu można zadawać pytania o wszystko i we wszystkich sytuacjach. Dzięki horyzontowi człowiek może rozumieć to, co pojawia się w jego świecie; horyzont jest bowiem czymś, w świetle czego człowiek pojmuje wszystkie przedmioty i wszystkim im wyznacza miejsce tworząc w ten sposób domostwo dla siebie. Sokrates mówił tu o daimonie”. Ważkie to słowa: horyzont, czyli zasięg pola widzenia i pojmowania świata; daimon, czyli dobry duch, który „pomaga w poszukiwaniach, wskazuje na popełnione błędy, podsuwa przydatne narzędzia, czasem do czegoś namawia albo czegoś zabrania, wywierając wpływ na kierunek myśli i podejmowane decyzje” — tak Andrzej Nowicki charakteryzował Sokratesowy „głos wewnętrzny”. Dodajmy do tego jeszcze jedno słowo: ethos. Ethos to po grecku „miejsce, w którym jest się u siebie”. Zagubionym w zawiłych problemach codzienności, coraz bardziej potrzebna nam takiego miejsca. Sokrates je znalazł i nazwał „daimonion” — a była nim właśnie filozofia.

Janusz Kuczyński napisał w 1969 r. książkę „Życie i filozofowanie”, w której głosi nierozdzielność życia i filozofii — nie jako postulat redukcji wszelkiej filozofii do „filozofii życia” (były i takie postulaty), lecz odwrotnie: przekształcania życia tak, aby stało się „życiem filozofii”. Najpierw trzeba żyć — to pewnik i truizm. Ale aby żyć w pełni, aby zasłużyć na miano człowieka, trzeba podjąć wysiłek stawiania się człowiekiem: przekraczania samego siebie, uczenia się człowieczeństwa, poszukiwania horyzontu, któremu można zadawać wszystkie pytania; wreszcie — odnalezienia się „u siebie”. Tego wszystkiego można szukać w filozofii: primum vivere, primumque philosophari.

Okolice sztuki

MIROSLAW SYCHRA ZE SVITAVY

PANA Josefa Ehma poznałam w 1970 roku, w jakiejś praskiej pracowni fotograficznej, w której było dużo sprzętu do zdjęć profesjonalnych oraz jedna modelka, nawet atrakcyjna kobieta, pozująca właścicielowi atelier do fotografii reklamujących modę damską, może tylko kosmetyki, nie pamiętam. Utkwiła mi natomiast w pamięci inna sprawa, chyba ważniejsza: urzeczony braci Czechów warsztatem fotograficznym, który ja właśnie wykpiwałam w swoich publikacjach, a przynajmniej lekceważyłam, eksponując kwestie ideologiczne. No cóż, było to w czasach tzw. fotografii subiektywnej po wystawie Dłubaka „ikonosfera” głośnym pokazie „Fotografów poszukujących” w „Galerii Współczesnej”. Rzemiosło to domena rzemieślników — dowodziłam z ogniem — w sztuce liczy się wolna kreacja, tym lepsza, im dalsza od wszelkich konwencji, również, oczywiście, technicznych. A pan Ehm uśmiechał się pobłażliwie, czasami tylko łapał za głowę, powtarzając nieustannie: foto-

grafia to aparat, urządzenie mechaniczne, skomplikowany proces obróbki chemicznej, ktoś nie opamięta się do perfekcji, nie ma prawa zabierać się za wykonywanie zdjęć. A takie manery, jak fotografia subiektywna, służą nie-razdoko maskowaniu zwyczajnej nieudolności technicznej autorów z tego kręgu.

Pan Ehm, dodajmy, do roku 1968 wykładał fotografię w Filmowej Akademii Muzycznej Umiejętności (FAUM), wykładał wielu uczniom, był honorowym członkiem FIAP, a w tej praskiej pracowni pojawił się w towarzystwie swojego wychowanka, który w dyskusji żarliwie popierał mistrza.

A przypominała mi tę rozmowę wystawa fotografii Mirosława Sychry, otwarta na początku czerwca w Muzeum Wsi Lubelskiej jako jedna z imprez Dni Kultury Czechosłowackiej w naszym województwie. Autor jest człowiekiem młodym, urodził się w 1930 roku, ale w jego zdjęciach nie spotrzęgam wahań czy potknięć warsztatowych. W parze z tą sprawnością idzie u Sychry wielka wrażliwość na urodę naturalnego pejzażu, którą artysta rekonstruuje na fotografiach ze spokojem klasyka, dostarczającego w przyrodzie natęczenia i otwarty na obecność człowieka. Sepiowy krajobraz horyzontalny z sylwetką kosiarza to właściwie apoteoza związku człowieka z przyrodą: wysmakowana estetycznie, zbudowana z namysłem, lecz wcale nie „w podniecie”. Widać, że jest to rzecz komponowana, ale w taki sposób, w jaki szyje się dobry garnitur: bez utawiania szwów, fastryg i podobnych zabiegów technicznych.

Tematem wystawy jest wieś, życie wiejskie — może na północnych Morawach, może w okolicach Svitavy, gdzie artysta mieszka od 1973 roku. Sychra przedstawia codzienność tego świata jego — tak to się mówi — radości i zamyślenia. Bywa reporterem podglądającym ludzi w pracy i podczas pogrzebu, w trakcie czynności gwy-żających i oświetlonych Czasami, wykorzystując właściwości obiektywu stosuje skróty perspektywiczne kiedy indziej uprawia coś w rodzaju fotograficznej medytacji nad przedmiotami codziennego użytku — również stercząc po specyficzne możliwości kamery. Ale to wszystkie zabiegi są jedynie narzędziami w dłoniach artysty, który pragnie nam opowiedzieć coś o świecie zauważonym czy wyrażonym własną do niego stosu-

nek. Z pewnym upodobaniem poszukując motywów atrakcyjnych wizualnie, wielkie znaczenie przykładając do jakości kompozycyjnych i fakturalnych fotografii, nie zapomina na ogół o tym, że zdjęcie jest medium informacyjnym. Najdobitniej poświadczają to światła w klimacie emocjonalnym, po reportersku uchwycona precyzyjnie skomponowana praca „Kondukt porzeczony”: gromadka żalobników w czerni defilująca w jakimś smutnym zakątku na tle piwnie na ziemiakach, uszeregowanych jedna obok drugiej, w dwóch podaj rządach, czego w Polsce nie usłyszysz.

Pewnym przyczynkiem do zrozumienia charakteru twórczości Mirosława Sychry może być biografia artysty. Otóż w latach 1965-1970 studiował on w szkole artystyczno-przemysłowej w Brnie. Potem podjął pracę fotografa w ostrawskiej Nowej Hucie im. Klementa Gottwalda, uprawiając zarazem reportaż i fotografię pejzażową. W tym czasie systematycznie uczestniczył w licznych wystawach i konkursach, wpisując na swoje konto kilka poważnych sukcesów. Trzykrotnie wygrał międzynarodowy konkurs „Młodzi fotografowie pokazuja Europę”, urządzony w RFN, zwyciężył w konkursie w Luksemburgu, zdobył medal w USA i trzy takie wyróżnienia na międzynarodowym konkursie w Mantes la Ville we Francji. Miał inne sukcesy — no i wtedy, w 1974 roku, podjął studia eksternistyczne w zakresie fotografii artystycznej w praskiej Akademii Sztuk Pięknych. Ostatecznie osiadł w Pradze, by kontynuować studia na kursie stażowym, rezygnując jednocześnie z udziału w jakichkolwiek konkursach! Po skończeniu Akademii zamieszkał we wspomnianej Svitavie, na terenie województwa wschodnioczeskiego. Zajmuje się głównie fotografią kolorową, propagandową i wykonuje wielkie dzieła tematycznie związane z przemysłem hutniczym północnych Moraw. Ponadto realizuje refleksyjne „martwe natury” na kanwie przedmiotów użytkowych oraz „fotografie jako obrazy do wnętrza”.

Mirosław Sychra zgodziłby się na pewno z Josefem Ehemem, że fotografia to wyspecjalizowana profesja, wymagająca wieloletnich studiów — m.in. nad warsztatem. (I ja też dziś tak sądzę).

DZIADKA KOŚCIANEGO WYCIECZKA DO WARSZAWY

Janusz Koniusz

— Ten za przeproszeniem bzdyl, ten pierdalon od zeszłego roku z wiosny, jak gospodarke za rentę zdał, ino o tej Warszawie. Zima ściśnie, myślę ja sobie, wychłodzi go, wystudzi, to mu minie. Gdzie tam, jeszcze go ten ziąb podniecił. Kara boska, opętanie.

Kobieta z trzydziestką już, ale jedyna cała, czarnooka, czarnobrewa, krew z mlekiem, teraz przede mną wyrzuciła z siebie te zaległe od zeszłej wiosny złości na teścia.

— Dam, bił się w piersi, aż się niosło, obiecywał, dam, co będę mógł. Do grobu nie wezmę. Jedynek mu został. Dwie córki wyniosły się stąd za chłopami na Śląsk. Dom pokryć tynkiem się prosi, widzi pan, nowe futryny wstawić, gratów co nieco dokupić. Nic nie da, nic, bo skąd, obiecanki jak szczychy za przeproszeniem na wiatr. Wyiskał się do ostatniej lyżki. Chalupa jeszcze i koniec. Drewniane to, sypie się, kto kupi, chyba żeby na podpałkę.

Mieścina maciupcia. Tylko budynek stacyjny wyniesiony ponad równinną okolicę. Rzędem wzdłuż wybrukowanej drogi świeżym tynkiem okutane kolejarskie domki pod jeden sztych. Ten tu, przy którym stoimy od kilku minut, bo nie chcę wejść do środka, jak wyrzut, chropawy, wigocią nadzarty, od dawna pod cement i kielnię gotów. Dalej już wydmuchowo, mokradła, trzęsawiska, rojsty i szeroka, rozlewna rzeka, czyli granica.

— Co jaki grosz zdobył, za sieczkarnię, za wialnię, za ule, bo pszczoły padły od jakiejś zarazy, to zaraz na siebie kupił. Dwie pary gaci, trzy pary koszul, pare portek, marynarki do nich, do koszul krawaty. W paski jeden, w ciapki drugi, w grochy trzeci. I gładki popielaty. Trzewiki jedne, trzewiki drugie na obstalunek. Plaszczyk, Jesionkę. I kozuch barani. Ten za sad, który jego sąsiad do swojego włączył. Kupił dobre tu od jednych i za te dobre kozuch. Mój na to: macie przecie, nowe nie nowe, ale i nie stare całkiem, po co wam tyle tego? A on, że w znoszonym wstyd jechać. W znoszonym to on nie pojedzie. Wszystko ma być świeżo spod igły. I na każdą porę inne. Jak mu wypadnie w zimie, to kozuch, jak pod jesień, to jesionka. Francja—elegancja, proszę pana. Ciach, prach, na każdy odpust inny lach. Zjeździł się za tym, zląził, w kolejkach nastął, nakombinował. Raz w nocy autem tu zjechał jak jaki rządowy albo mocno partyjny. Coście kupili znowu, pyta się mój, bo ja się nigdy nie odzywam. Słyszę, że on nie mówi. Od tej jazdy jakby zadyszki dostał. Gacie, mówi. Ino gacie? O świtanie po krawat jęde. Jużem go był obstalował. Krawat żeście obstalowali, dziwi się mój. Nie, auto. O mało strzyga by mnie wzięła. Autem po krawat jeździć, widział kto? Grzech, rozpusta wierutna. Puk — puk, puk — puk, puknijcie się ojciec mocno w czoło, mówi mój. A za co was pochowamy, na księdza z czego, na wypominki, na kamień jaki szlachetny, żebyście pod samą darnią nie spoczywali. Za co, jak się autem wszędzie wozicie? Gdzie jemu się do pukania brać. Zagadać by się na śmierć, a on i tak na swoje postawi, czyli na rozrzutność. Jakby nie słyszał. Może gdyby z armaty wystrzelić, prądem wstrząsnąć. I dwie walizki też kupił. Ta mniejsza, mówi, to będzie stałe pod ręką. Większą w pociągu na półkę się wrzuci. Do Warszawy bez walizek, ludzie, jakże tak?

I czarnooka rękami w powietrzu ustala stąd dotąd rozmiar podręcznej walizeczki i tej większej walizy trochę przesadzając, bo poprawia się, żeby było jak najdokładniej.

— A u nas dwie. Wypróżnić ino,

zamki naoliwić. Nie, bo one nie na glanc. Glancu mu się na stare lata zachciało, glancu. I książkę kupił. Czytaj, Jędrus, czytaj, mówi do mojego starszego, bo młodszy jeszcze za słaby w czytaniu. Dwa złote pięćdziesiąt groszy za stronicę, pięć za całą kartę daje. Jędrus ino ze szkoły wrócił, o biad ledwo schlipiał i co tehu do tego czytania leciał. Stówkę wieczór w wieczór przynosił. Więcej by mógł, gdyby ten za przeproszeniem stary

silku na pościeli się wyciągnąć. A przy obcych jak? A obcy to w czym, nie w białiznie? Kaprysy, grymasy, fupy, pumy. Starość nie radość, w kościach skrzypi, a zachciewajki jak u młodzika. Kara boska, opętanie. Zląził się po tej Warszawie jak za robotą po polu. Od świtu do nocy, bo każdego widoku za dnia przepuścić żal. Od kamienicy do kamienicy, od pałacu do pałacu, od kościoła do kościoła, kuśtyk, kuśtyk. Na tacę dawał. Do skarbonek



Rys. Andrzej Bronikowski

grzyb, ten przygluch nie kazał sobie tego i tamtego od początku dwa lub trzy razy czytać. Wolno, wolniuszko, by broń Boże, jakiego słowa nie przepuścić, jakby były święte, nie zwyczajne. Ta książka to była dla mnie jasność, że on pojedzie. Na darmo by sobie tyle tego czytać nie kazał. W żar mu wypadło. I po co ten wydatek na zimę, na jesień? Złość piecze, jak pomyśleć, co się żga w sercu, bo jak ma nie żgać. Mój myśli, ja myślę, pojechał, to się może w drodze ocknie i zawróci, kiedy mu przyjdzie raz po razie do kieszeni sięgnąć. Tydzień zleciał, a wieści żadnej. Jędrus na rower, zaraz wraca, bo drzwi zakłuczony jak były, okna zaparte, a gadzina, co ją zdał na ten czas, u obcych na podwórku. Mój mówi: źle. Może go okradli i skomli gdzie, może go ukatrupili w jakiejś bramie i ściągali z niego, co się dało, auto go potrąciło albo tramwaj. Mógł wejść do tramwaju i wylecieć, wypchnąć go mogli. Na milicję mój chciał iść. Strzymaj się, radzę. Jakby mu się co złego przytrafiło, to cię znajdą. A zły ty nie przeskodzisz. Mój swoje, ja swoje, a ten pierdalon, dziadek kościany w hotelu kazał się w oddzielnym pokoju położyć. Jak wielki pan. Żeby mu w ucho nikt nie chrapał. Po walizkach nie myszkował. I w pojedynkę przemyśleć od początku to wszystko, co się zobaczyło. Ze sobą się ułożyć nad tym światem. Jak to odżywkę dziadkowi się lęgną? W samej białiznie po po-

wrzucał. U nas tu też mógł na tacę większy grosz dać, jak już go tak przypiliło. Pan Bóg wszędzie ten sam. Jaka różnica, gdzie się da, tu, tam? Tu, gdyby większy grosz dał, po ludzkości by się rozeszło, a tam komu to w oko wpadło, nikomu. I przy grobach przez całe dwa dni był. Nikogo z krewnych, jednego znajomka, żeby gdzie świeczkę zapalić, wieczne odpoczywanie zmówić, a tyle czasu namarnował. Królewskim traktem kazał się w powózce wieźć, słyszał pan?

— Właśnie słyszałem — wtrąciłem — i to mnie najbardziej zastanowiło.

— Autem. Byłoby taniej i różniej, ale, mówi, żaden król po Warszawie taryfą nie jeździł. To ja miałbym. Na starość w głowie mu się do cna wywróciło. I w muzeum był, i to w jednym, i w teatrze, i w cyrku, gdzie on, panie, nie zachodził. Co dzień w inny kąt, żeby dwa razy na to samo nie patrzeć. I jakby mu po dwu pełnych tygodniach jeszcze połowa do obejrzenia została. Tak mi się widzi, mówi do mojego, że mi dobra połowa została. Pałac żeście widzieli, pyta mój. Który? Ten największy. Na własne oczy. I w środku żem był. A dom, gdzie partia urzęduje, widzieliście? Na własne oczy, ale w środku nie był, bo tam się ino za interesem wchodzi. A tam, gdzie rząd rządzi, byliście? Byłem. No, to żeście widzieli najważniejsze, mówi mój. Prawie całość. Po co wam znów się pchać? Odpocznijcie, ojciec, w słoneczku się wy-

grzejecie, z dolegliwości wykurujecie się na dobre. Z tego świata w zdrowu trza zejść, nie w chorobie. A on głowę spuścił, myśli i jak się nagle odezwie, jakby z książki: Praga-Południe, Ursynów cały, Zolibórz, Wola, Żelazowa Wola, żeby już za jednym razem było. To by mi jeszcze zostało. Tyle jeszcze? pyta mój. Tyle. Wola wam ino została jedna, nie dwie. A on spode łba: Józefciu, teraz ty puknij się w czołko. Ale mocno. Ja wiem sam najlepiej, co mi zostało. Może być, że mu ta połowa niby została.

— Na pewno — nie pozwałam czarnej na żadne wątpliwości. — Przez dwa tygodnie to sporo obszedł.

— Dwa tygodnie i jeden dzień — sprostowała.

— Dwa miesiące za mało — nie zrezygnowałem ze swojego zdania, czym z pewnością nie wzbudziłem u kobiety sympatii do siebie. — Znam takich, którzy lata żyją w Warszawie i nie znają miasta.

— Samolotem do województwa zleciał. Jakby z samej Ameryki. A koleją nie laska się tłuc. Spieszno tu mu było do czego? Do tych trzech kurek i kaczkę? Jak kogo na konia stać, mówi, to i na furę. Tłoku w samolocie żadnego. Każden w hotelu siedzi, pasem spięty. Wygoda. Jak się w dół patrzy, to domy jak pudełeczka od zapalek, co by je naraz po kilka w garść zebrać. Podwórka wymiecione, śmiecia żadnego. A rzeka to jak wstążka od chorągwi. Zanim człowieka w grunt opuszczą, z godzinką w chmurach pobujać nie zaszkodzi. Dorwał palec, panie, ciągnie rękę. Wzięło go, myślę ja sobie, całkiem go wzięło. Na starość zły w niego wstąpił. Albo go wzięło na pasek i nie puszcza. A złemu po coś do tej Warszawy spieszno, nie bliżej, gdzieś tu, do trzeciej parafii, ino tam i ciągnie. Musi być z tamtych stron. Mówię do mojego, zobaczysz, na przyszłe lato, ani chybi, też pojedzie. Chyba żeby jaka choroba go zmogła. Do ostatka się wyprzeda. Każe się pochować w szmacianych trzewikach, a pojedzie. Z czym zejść z tego świata, pyta się raz mojego, no, z czym Józefku? Mój nic. Nawet nie patrzy na niego. Z tym, co obejrze, mówi. I mów pan z takim. Zejdzie i te widoki zabierze ze sobą. I po co mu je? Żadnego pożytku. A wydatki, ile by człowiek za to nabył?

— Do Warszawy jęde! — usłyszeliśmy nagle od drogi. Chłopiec szybko zatraskując za sobą furtkę krzyknął jeszcze: — Do War... — i na mój widok zamilkł.

— Z dziadkiem? — zapytała ironicznie.

— Na olimpiadę — wykrztusił chłopiec, bo jego organizm upomniał się o chwilę wypoczynku. Czerwone policzki i wyraźna zadyszka świadczyły, że długo biegł. — Wszystko umiałem, wszystko. I jeszcze poza konkursem, od czego pochodzi nazwa Wilanów. Pan inspektor powiedział, że nie spotkał jeszcze takiego, który by tak dużo o Warszawie wiedział, co ja. Hurra! Hurra! — krzyczał wesoło chłopiec, skacząc po niewielkim podwórku zagraconym skrzynią z piachem, boskiem zawieszonym na dwu palikach, zerdzią do wieszania pierzyn i poduch, beczką po smole i taczką do wywozu obornika na ogródek. Złapał kobietę za rękę i okręcił ją wokół siebie kilka razy, aż ta, żeby nie upaść, odepchnęła go łagodnie od siebie. I kiedy tak łapała równowagę, w jej czarnooczej i czarnobrewej twarzy, wyrażającej kosmetycznej pielęgnacji, dostrzegłem jakby zażenowanie. Wydawała się jakby złapana na gorącym uczynku. Szybko odwróciła się i wbiegając na wyszczerbione, drewniane schody rzuciła ostro przez ramię:

— Zaprowadź, Jędrus, do dziadka tego pana z gazety.

Trzecie spotkanie z Marandą

CZEKALEM na trzecią część cyklu powieściowego z Marandą w tytule — nie ukrywam — z dużym zainteresowaniem. I nadzieją, że będzie to godna kontynuacja dwóch pierwszych tomów tak interesująco zarysowującej się epiki. Przypomnieć warto, że to właśnie po debiutanckich „Białych kołnierzykach” (LSW 1972) Janusz Oleczak dokonał gwałtownej wolty, porzucając zgrzebną realizm opisywania problematyki związanej z tzw. nurtem wiejskim w polskiej prozie współczesnej — na rzecz artykułowania kraczynej wizji rzeczywistości. Tak bowiem można widzieć zarówno „Baśń o wielkim Marandzie” (1974), jak i „Jubileusz Marandy” (1977). Zrozumiałem wówczas, że pisarz — nie rezygnując z autopsji — formułę swojego pisarstwa zawarł nie tylko w surowym weryzmie, lecz ujął ją w planie kreacji, bardziej cyzelowanego przetworzenia materii życia. W nowym widzeniu ludzi i ich współczesnych, pogmatwanych biografii. W nowym sposobie ujęcia ich losów, stałe dynamicznych, w ciągłym ruchu nie tylko peregrynacji po kraju, od ziemi lubuskiej do Lubelszczyzny, ale również — w ich ciągłych przechadzkach, wizytach, żywo toczonych dialogach. Są to co prawda dialogi najczęściej banalne i anegdotyczne, ale przecież — otwierające jakąś perspektywę nowego spojrzenia na życie i przeżycia nam współczesnych.

Wyznając więc, co nieraz miałem już możliwość potwierdzania słowem drukowanym, że oba tomy z Marandą w tytule wzbudziły we mnie wielki szacunek dla prozatorskich dokonań Oleczaka, nakazały owe niecierpliwie czekanie na tom trzeci, na spotkania starych znajomych: Azbesta, Czuja, M-2, a także samego Marandy, który pozostając jakby w tyle musiał się przecieć głównym bohaterem tej epiki. Przy tym wszystkim, co również nieraz podkreślałem, ten typ Oleczakowej prozy, budowanej z ciągów facecji, anegdot, opowieści i przypowieści, wywołał we mnie zainteresowanie: jak będzie się ona dalej rozwijać, w jakim podąży kierunku, jak zdoła udźwignąć tę barwną i bogatą panoramę losów ludzkich w swej amorficznej postaci, co wreszcie pozostanie w niej z klimatu i konwencji osiemnastowiecznej opowiadki filozoficznej? A zarazem — jak będzie się rozwijał i wzbogacał język tej prozy, miejscami zabawny i kpiarski, miejscami łagodny i wyrozumiały, ale zawsze przecieć za bardzo potoczny, niestaranny, jakby żywcem przeniesiony z ulicy i naszych małych miasteczkowych domów? Takie i inne pytania towarzyszyły mi podczas lektury „Wesela Marandy” — powieści zbudowanej z dwudziestu samodzielnymi rozdziałami, znów — według klucza zastosowanego w poprzednich dwóch tomach — opi-

sującej dojrzałe już losy znanych postaci, znów według tej samej metody facejonistyczno-anegdotycznej wyrażającej dość banalne prawdy i powierzchowne sądy o naszej współczesności, o nas samych. Toteż myślę, że ten trzeci tom stanowi rozczarowanie, jest powieleniem tego wszystkiego, co autor zdołał już wyrazić nie tylko w początkowych tomach cyklu, ale również w wielu opublikowanych w międzyczasie powieściach i zbiorach opowiadań.

Gdybyśmy zechcieli przez pryzmat prozy Oleczakowej głębiej wejrzeć w nasze życie, szerzej poznać jego dramatyczne węzły, to spotka nas srogie rozczarowanie. Mialkość, banalność opisów, okraszonych nieco rubasznym humorem, tandeciarskie apostrofy liryczne do „okolic skwierczących”, nieład kompozycyjny powieści jako samodzielnego utworu, postaci bez głębszego rysunku psychologicznego — to kolekcja wad najnowszej powieści Janusza Oleczaka. I niewiele tu pomogą autorskie wyjaśnienia, publikowane m.in. w zielonogórskim „Nadodrzcu” (nr 11 z br.) na temat rodowodu Marandy. Czytelnik ma prawo nie znać zamysłu, ani dobrych intencji autora — otrzymuje natomiast taki, a nie inny utwór literacki, o takiej, a nie innej wartości artystycznej i poznawczej.

Tymczasem tych wartości jest doprawdy zbyt mało, aby oddać pokłon pisarzowi tak płodnemu i doświadczonemu, jakim jest Janusz Oleczak. Nie sądzę, aby w imię nadmiernej tolerancji można było ten utwór traktować na zasadzie taryfy ulgowej. Zwłaszcza, kiedy mamy do czynienia z prozą podsyżną nie tyle gombrowiczowskiemu Filidorem, ile — po prostu cklwym, cepeliowskim sentymentalizmem. A to już doprawdy trudno autorowi wybaczyć!

Zenon Łukaszewicz

Janusz Oleczak: Wesela Marandy. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1983 r.

Janusz Oleczak

DOWÓD MATEMATYCZNY

(Z Mistrza Jana)

Wsi spokojna wsi wesola
Raz do koła dwa do koła!
Wsi spokojna wsi wesola
In Polonia educatum!
Wszyscy zaśpiewajmy zgola
Dwa do koła! Do kwadratu!
Głód cholera beton wojna
to wdzięki miejskiego stanu.
Trzy do koła! Do szczęścia!

MUZY I ŁOBUZY

(Z Mistrza Ildefonsa)

Wyszedłem leciutko pijany
z traktierni Pod Meduzą,
kiedy z sąsiedniej bramy
wybiegły do mnie Muzy.

Pędziły na to spotkanie
nocą lekką jak Zefir
— och przeurocze panie! —
kiedy ktoś je zaczepił.

Jeden łobuz spod trójki
i Bredzio, jego koleżka,
chętny do każdej bójki,
syn flądry i rzeźmieszka.

Skamieniałem ze zgrozy
widząc, jak moje damy
uciekając się do metamorfozy,
znikają w czeluściach bramy.

Dwie z nich odmienivszy szaty
ukryły się na wystawie
pomiędzy manekinami,
które wystroił krawiec.

Gdyby ktoś z was chciał wiedzieć,
who's who i kto jest kto,
wyjaśniam, że manekiny z lutnią
to Euterpe i Klio.

ODPOWIEDZ NA PYTANIE

(z Mistrza Mirona)

Być albo nie być
Lobeczny!
A bo mi to co da
da abo nie da
dada
dadarida
Być albo nie być
Jeżdem!
Na trzy dni mam usprawiedliwienie

Za włosy niemal do tysiny
życie mną włóczy jak Hektora
i tylko warczy wierna psina,
ma suka muza, niechaj skonam.

Drapieżnie sięgam znów po
szczęście
ręką nawykłą do uchwyty.
Dobry to wzór do rękojeści
narzędzia kształtowania bytu.

Jak pisałem „Marandę”

WROKU 1967 przeczytałem piękną książkę, „Auto da fé” Canettiego. Jest to wersja „Don Kichota” napisana przez entuzjastę Kafki. Mój młodzieńczy „Encyklopedysta” był Don Kichotem nałożonym na modele Canettiego i... Zeromskiego.

Napisałem „Encyklopedystę” odłożyłem go do szuflady, bo nie miałem żadnych kontaktów. Wiedziałem, że książki się pisze, ale wydawać ich nie umiałem. Poza tym powieść przestała mi się podobać. Chciałem stworzyć coś innego, bardziej mięsistego, bardziej konkretnego. No i tak w roku 1969 napisałem „Marandę”. Powołałem do życia całe grono Don Kichotów

i Sancho Pansów. Zresztą to już nie był Don Kichot.

Skończyłem „Marandę” i schowałem do szuflady. Ogłoszono aukurat konkurs na debiut prozatorski. Szybko napisałem powieść i tom opowiadań, no i zdobyłem dwie nagrody. To otworzyło drogę dla moich powieści szufladowych.

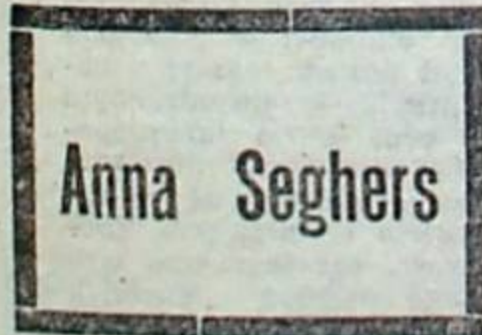
Kim są bohaterowie powieści? „Pani Bovary to ja” — można powiedzieć za Mistrzem. Bohaterami tymi są przede wszystkim moi koledzy, których mogę wskazać palcem. Są też nimi całkiem fikcyjne postaci. Taki właśnie stop tworzy beletrystykę. Nawiasem mówiąc wciąż i niezłomnie w beletrystykę wierzę. Po prostu sztuka obrazko-

wa nie jest w stanie wyrazić wszystkiego. Poza tym film i powieść to nie są sztuki konkurencyjne czy alternatywne. Czytelnicy o tym dobrze wiedzą, ale splotnicy krytycy często nie mogą tego pojąć.

O co jeszcze tu chodzi? Z metaforyką w beletrystyce trzeba uważać. Metafora nie może być nętna, wiodąca jak w poezji. Wyrazić zaś chciałem porządek i chaos życia, życie po prostu. Zresztą to jest główny cel literatury.

Trzy luźne tomy cyklu „Marandy” wymagają finału. Nie wiem jeszcze, czy będzie to czwarta książka czy tylko dłuższe opowiadanie.

Janusz Oleczak



Anna Seghers

POSTĘPOWA literatura niemiecka poniosła ogromną stratę — 1 czerwca zmarła w 83 roku życia Anna Seghers, należąca bezspornie do najwybitniejszych powieściopisarzy XX wieku. Pochodząca z wykształconej rodziny mieszczańskiej Reilingów w Moguncji, od wczesnej młodości interesowała się sztuką, czemu dała wyraz w wyborze kierunku studiów; ukończonych doktoratem z historii sztuki w r. 1924, jak również wyborem pseudonimu „Seghers” pochodzącego od nazwiska znanego grafika z czasów Rembrandta. W roku 1928 wstąpiła Anna Seghers do Komunistycznej Partii Niemiec, w tym samym roku ukazuje się jej opowieść pt. „Bunt rybaków z Santa Barbara”, za którą pisarka otrzymuje nagrodę im. H. Kleista. Utwór ten został sfilmowany przez Erwina Piscatora. W r. 1936 powstaje tom opowiadań, a dwa lata później pierwsza powieść „Towarzysze”, ukazująca



ca losy prześladowanych i zmuszonych do emigracji działaczy rewolucyjnych z różnych krajów. Utwór składa się z pięciu równoległych opowieści, a wartości ideowe górują tu nad pewnymi niedostatkami w opowiadaniu formy powieściowej przez autorkę. Dla naszego czytelnika interesujący jest wątek polski, wyróżniający się wnikliwym i psychologicznie pogłębiłym obrazem ewolucji ideowej polskich rewolucjonistów. Rok 1933 przynosił zagarnięcie władzy w Niemczech przez Hitlera

ra i przesładowanie jego przeciwników, a wśród nich postępujących pisarzy niemieckich. Najpierw aresztowana i uwięziona przez gestapo, Anna Seghers ucieka potem przez Czechosłowację do Szwajcarii, aby wreszcie, jak wielu jej kolegów po piórze, schronić się w gościnnej Francji, która stała się na lat parę ośrodkiem życia i twórczości niemieckich pisarzy antyfaszystowskich, jak Henryk Mann, Lion Feuchtwanger i inni. Na emigracji współpracuje Seghers z czasopiśmiłami („Internationale Literatur”, „Freies Deutschland”, „Neue Deutsche Blätter”) i wydawnictwami antyfaszystowskimi, bierze również udział w międzynarodowych kongresach pisarzy w Paryżu (1935) i Madrycie (1937).

Głównym i stałym, w różnych wariantach obecnym w twórczości emigracyjnej Anny Seghers zarówno we Francji jak i później w Meksyku, tematem jest szukanie odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób mogło dojść do prześladowania i opanowania narodu niemieckiego przez faszystów i — w jaki sposób należy się temu przeciwstawić. W r. 1933 ukazuje się w Amsterdamie pierwsza powieść emigracyjna pisarki, „List gończy”, ukazująca losy młodego robotnika antyfaszysty, na próżno szukającego schronienia przed nazistami wśród mieszkających wiosk. Kolejny utwór „Droga przez luty” (1935) poświęcony jest walkom australijskiej klasy robotniczej z reżimem Dolfusa podczas powstania w lutym 1934 r. i sta-

nowi owoc uczestniczenia Anny Seghers jako obserwarki w procesie robotników w Austrii w 1934 r. W tymże okresie pisarka angażuje się w sprawę uwolnienia Ernsta Thälmana. Powieść „Ocalenie” (1937) to realistyczny obraz okresu bezrobocia w Republice Weimarskiej. Na przykładzie ewolucji ideowej grupy górników i ich przywódcy, rębacza Bentscha, autorka ukazuje powstanie i rozwój antyfaszystowskiego ruchu w Niemczech w przeddzień dojścia Hitlera do władzy.

Najwybitniejszym jednakże dziełem Anny Seghers jest tłumaczona na język polski już w 1950 r. (i wielokrotnie potem u nas wydawana) powieść o światowej sławie, pt. „Siódmy krzyż” (1942; sfilmowana w USA w r. 1944). Utwór ten to olbrzymi sukces zarówno samej pisarki, jak i całej postępowej niemieckiej literatury emigracyjnej owego okresu. Akcja utworu rozgrywa się późną jesienią 1937 r. w ciągu siedmiu dni. W siedmiu też rozdziałach ukazuje Seghers losy siedmiu więźniów zbliżonych z obozu koncentracyjnego. Tylko jednemu z nich udaje się uciec. Zasygnalizowany już w tytule utworu motyw centralny siódmego, pustego krzyża, na którym miał umrzeć jedyny nie schwytany, mimo usiłowań nazistów, bohater powieści komunista Heisler urasta do symbolu słabości aparatu hitlerowskiej władzy. Heislerowi udaje się uratować życie

dzięki pomocy przedstawicieli różnych kręgów niemieckiego społeczeństwa, intelektualistów, mieszczan, chłopów i robotników, których sam niesłychany fakt jego ucieczki zmusza do samookreślenia politycznego i do podejmowania decyzji.

Wprawdzie od chwili napisania tej książki, w ciągu lat czterdziestu Anna Seghers wzbogaciła współczesną literaturę niemiecką o kilka jeszcze innych powieści — „Tranzyt” z 1943 r. — epopeję trudnej emigracyjnej egzystencji; oraz kronikę dziejów Niemiec w latach 1918-1945 — pt. „Umarli pozostają młodzi” z 1949 r., czy też, już po powrocie z emigracji do NRD, o liczne cykle opowiadań i artykułów teoretyczno-literackich — wszak „Siódmy krzyż” zajmuje w jej twórczości szczególne, niepowtarzalne miejsce. Mistrzostwo w konstruowaniu fabuły, wspaniałe opisy przyrody, dojrzały i piękny język, a przede wszystkim programowy, trudny optymizm i wiara w zwycięstwo dobra w czole wieku, stawiają Annę Seghers w rzędzie największych pisarzy humanistów literatury XX wieku.

Twórczość tej wielokrotnej laureatki nagród literackich i państwowych, przedstawicieli — obok Liona Feuchtwangera i Arnolda Zweiga — postępowego nurtu epiki niemieckiej, dzięki swym wartościom ideowo-artystycznym zdobyła poczesne miejsce w dorobku światowej kultury.

Bożena Kowalowa

Fiskus i hektary

Dokończenie ze str. 1

hektar gruntów ornych o klasie gorszej niż II rolnik będzie płacił około 4370 zł. Jeżeli jego gleby występują w II klasie, będzie płacił około 7 tys. zł. Tak zuniifikowany podatek zastąpi dotychczasowe trzy rodzaje świadczeń: podatek gruntowy, podatek na Fundusz Rozwoju Rolnictwa oraz na fundusz gminny. Niektóre uprawy rolne uchodzą jednak za bardziej opłacalne niż uprawa zbóż, proponuje się więc obłożenie ich dodatkowymi opłatami. I tak: za sad w wieku powyżej 7 lat i o powierzchni większej niż 0,6 ha — 3,5 kwintala. Kwiaty w uprawach gruntowych i tzw. inspektach zimnych — 10 kwintali żyta; drzewa i krzewy ozdobne — 5 kwintali.

Ostatnim, bardziej skomplikowanym elementem nowego systemu podatkowego jest tzw. podatek wyrównawczy, nałożony na „rekinów” szklarniowych, na fermy niosek i zwierząt futerkowych, pieczarkarnie. Tam podatek będzie wzrastał progresywnie od granicy 180 tys. zł dochodu rocznego.

Niemal równocześnie z nowymi propozycjami podatków padły propozycje nowych cen skupu zbóż, żywca i mleka. Jak już wspominałem, żyto ma kosztować 1750 zł, pszenica 2 tys., cena żywca wołowego wzrośnie o osiem, wieprzowego o dziewięć zł za kilogram i o jeden złoty — litr mleka.

Podane tu propozycje weszły w fazę tzw. konsultacji społecznej. Praktycznie polega ona na sondowaniu opinii rolników na różnego rodzaju zebraniach, z czego ma powstać zbiorczy obraz nastrojów. Osobiście nie bardzo rozumiem jak można, w tak luźnej i wrywkowej formie, skonsultować kwestię z bądź co bądź połową narodu i kto — konkretnie — ma zredagować ostateczną konkluzję? Konsultacje takie robią wszyscy na wszystkich szczeblach: naczelnicy gmin na zebraniach wiejskich, wojewodowie na zebraniach „aktywu wiejskiego” z całego województwa; a także sami ministrowie i wiceministrowie, projektodawcy z Ministerstwa Finansów. Konsultują rolnicy indywidualni, pracownicy PGR, spółdzielni produkcyjnych i ogrodniczych, konsultują szklarniarze, sadownicy, pieczarkarze.

A także dziennikarze. W tym miejscu pozwolę sobie podzielić się z Czytelnikami moją prywatną konsultacją, z konieczności okrojona do paru wypowiedzi rolników wybranych (z racji trudności benzynowych) we wsiach podlubelskich.

Pierwszego zastałem w punkcie skupu żywca w Jastkowiu. Właściwie był to głos zbiorowości, bowiem obstapilo mnie kolem kilku rolników. Żaden nie chciał podać nazwiska i nazwy swojej wsi. „Po co to panu? Do podatku?”

Wynik sondy stał się zaskakujący (dla mnie) jednolity, bez większej więc przesady mogę te osoby nazwać jednym nazwiskiem, np. Kowalski.

Ja: — To dużo, czy mało, ten nowy podatek?

Kowalski: — Panie, ani dużo, ani mało. Niech mi zapłacą tyle, co trzeba za tę świnię, albo za metr pszenicy, to ja i większy podatek zapłacę.

Ja: — To znaczy, że za mało dall na kilogramie żywca i metrze zboża?

Kowalski: — No pewnie. To pan nie wie, co to jest teraz 9 złotych na kilu, a 1000 zł na całej świni?

Ja: — To nowe pantofle, na przykład.

Kowalski: — Eee panie, idź pan się utop z takim gadaniem... Pantofle za 1000 zł. Gdzie one są?

Kowalski nr 2: — Ja będę płacił 2,5 metra żyta podatku w cenie 1750 złotych, ale niech pan nie myśli, że na

skupie zaplacą mi po 1750 zł. Po odliczeniu procentu wilgotności i zanieczyszczeń wyjdzie około 1500 zł. Teraz niby placą 1440, ale nikt tego nie dostaje, najwyżej 1300, 1350 zł.

Kowalski nr 3: — Jeden złoty na litrze mleka. To durnota. Lepiej by się nie wyglupiali!

Po drugiej stronie Lublina dwie bogate, znane wsie: Babin i Pawlin. W pierwszej z nich odnajduję gospodarza wskazanego przez sklepową:

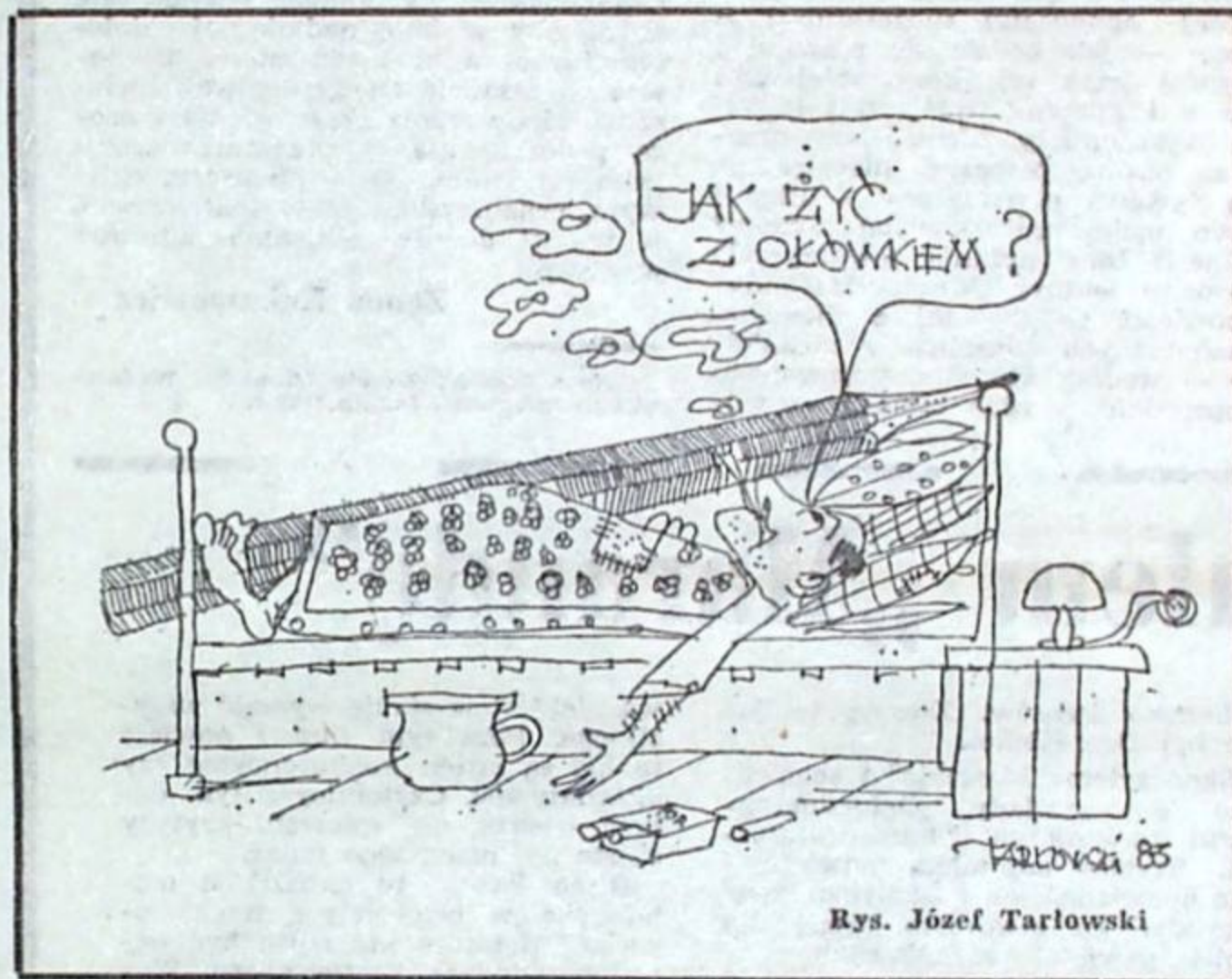
— Panie, długo siedziałem z żoną nad gazetą z tym nowym podatkiem. Mam 12 hektarów, siedem krów, trzy-

włącznie z kombajnem zbożowym. Jego opinia o nowych podatkach:

— Niech państwo nie robi mi laski złotychkami na kilu żywca czy litrze mleka, bo drugą ręką zabiera trzy razy tyle. Za grunty i sad zapłacę o prawie ćwierć miliona więcej niż dotychczas. Przypuszczam, że jest to cała pana roczna pensja, redaktorze...

— Prawie dwuletnia...

— Jeszcze lepiej. Ja te dodatkowe pieniądze muszę wydrzeć z ziemi. Same hektary niestety nie rodzą... W zeszłym roku oddałem produkty za 2,6 mln złotych, można sprawdzić w ban-



Rys. Józef Tarłowski

dzieści świń. Mógłbym tu panu gadać, że podatek za duży, że na żywcu czy mleku za mało. Oczywiście, że za mało, ale w ogóle nie w tym cała sprawa, a w cenach tego, co ja muszę kupić: w nawozach, maszynach, narzędziach. Jeżeli plug dwuskibowy zdrożał o 12 tys. złotych, dwa razy gwóźdź, widły czy łańcuch, to co? Ile razy państwo musi podwyższyć cenę litra mojego mleka czy kila żywca? Mówienie o złotychkami, to mydlenie oczu. Tu trzeba mówić o opłacalności, a nie o złotychkami i czy powinni dać za żywiec osiem czy piętnaście złotych. Wy tam w mieście traktujecie chłopaka tak, jakby potrzebne mu były tylko widły, gumowce, nawozy, czasem traktor i co tam jeszcze. A przecież moja żona jedzie do miasta i chce kupić to samo, co pana żona. No tak czy nie? Taki przykład: chciała mieć zapasową butlę gazową, tę większą. Znalazła w „Kurjerze” ogłoszenie, że jest do sprzedania. Wie pan, ile chcieli? — 20 tysięcy! Dawniej kupilem telewizor za pół świni. Teraz muszę dać za niego półtora świni. I tak ze wszystkim...

Trzeci rozmówca, z Pawlina. Początkowo godził się na podanie nazwiska, lecz pod koniec rozmowy powiedział, po dłuższym namyśle: — Nie, napisz pan tylko literki nazwiska, albo wcale. A zresztą naczelnik i tak rozpozna, kto to jest.

Otóż, Józef P. z Pawlina jest gospodarzem na 19 hektarach gruntów II klasy. Ma: 2 hektary sadu jabłkowego, kilkanaście sztuk bydła, hoduje 50 świń rocznie; posiada komplet maszyn

ku. Milioner, co? Niewolnik skibi! — wykrzyknął, każąc mi starannie zanotować to słowo. — Niewolnik! Cztery osoby mojej rodziny: ja, żona, syn i synowa, to niewolnicy skibi, od świtu do nocy! A sad wytnę! Za to, że tyle lat się truje, z całą rodziną, przy opryskach, że pięć lat temu miałem częściowy paraliż od Topsisu i Owadofosu. To za to mam płacić trzykrotny podatek? Wytnę!... Mnie i mojemu synowi wystarczy już tego, co mamy. Połowę krów zlikwiduję. Nie będę płacił za cały ten bałagan... To w ten sposób szuka się rezerw, albo likwiduje nawis?

Tak więc moi rozmówcy dość zgodnie widzą propozycje podatkowe w kontekście ogólnej sytuacji finansowo-zaopatrzeniowej swoich gospodarstw. Tę zaś oceniają dość chudo, przy czym skala obrotów nie łagodzi ich krytycyzmu: zarówno „milioner” jak też rolnik o przeciętnym areale istotę problemu widzą w opłacalności zestawionej ze skalą wysiłku fizycznego i potencjału produkcyjnego, nie zaś w „czystych” złotychkami, których wartość staje się nie tylko coraz mniejsza, ale przede wszystkim coraz mniej wymierna. Wszystko wskazuje więc na to, że nowy podatek, a raczej system podatkowy, który w pełni wejdzie w życie dopiero w 1986 roku, niczego tu nie stymuluje. Jest dodatkowym obciążeniem pieniężnym, — ale istotę sporu stanowią propozycje nowych cen skupu. Gdyby podwyżka tych cen miała za zadanie tylko rekompensować większe podatki — to

plus minus stanowiłaby tę rekompensatę. Tak jednak nie jest. Wyższe ceny skupu powinny stanowić bodziec produkcyjny, rekompensatę wzrostu kosztów produkcji rolnej. A skoro tak, to są zdecydowanie za niskie: nie równoważą ubiegłorocznej lawiny podwyżek cen wszystkich, bo nie tylko rolniczych, towarów. Gdy hodowanie tuczniaka, krowy mlecznej czy odstawienie kwintala zboża na skup ociera się o barierę opłacalności — to jeszcze pół biedy. Kiedy staje się jawnie nieopłacalne — to już cała bieda. Wydaje się, że trzy decyzje cenowe w rolnictwie ostatnich lat są jedynie ratowaniem przecyżłku w stronę katastrofy, w postaci rażącej nieopłacalności, i daleko im do funkcjonowania jako rzeczywiste bodźce produkcji. Tak jest obecnie: z 8—9 złotymi podwyżki na żywcu, ze złotówką na mleku, z 300 złotymi na kwintalu zboża. Są one jedynie bardzo połowicznymi próbami zacierania różnic w cenach państwowych i wolnorynkowych. Przez cały kończący się rok gospodarczy skup płacił 1440 zł za zboże, gdy na rynku kosztowało ono 3—3,5 tys. zł. Relacja ta po prostu ośmieszala cenę skupową, przy czym, oprócz tego, o obiektywnie, nie stanowiła ona rzeczywistego obrazu popytu i podaży. Zboże przez cały rok było dla rolnika lokatą kapitału, łatwo przechowywanym towarem. Dowodem tego jest obecna cena wolnorynkowa zboża: gdy tegoroczne zbiory zapowiedziały się ładnie, ceny wolnorynkowe (np. pszenicy) spadły o 1500 złotych! Takiego spadku nie było nigdy, na żadnym zwłaszcza przedśwoku.

Naiwnością byłoby też sądzić, że zwiększone opodatkowanie rolnik zechce zrównoważyć większą wydajnością, jak to prorokują niektórzy publicyści. Do tych obciążeń dochodzą jeszcze propozycje podatku dochodowego: 18 tys. zł od łącznego dochodu gospodarstwa wynoszącego 180 tys., i ostrej progresji od dochodów wyższych od tej podstawy. Ktoś tu musiał „ciężko” pomyśleć, syjąc takie domiary: 180 tys. zł dochodu na całą rodzinę już ma stanowić pretekst do haraczu. A ile będą płacić rolnicy, którzy dostarczają produkty wartości 1,5—2 i więcej mln zł? Jak to się ma w stosunku do równoczesnych zapewnień, że dążyć się będzie do powiększania gospodarstw chłopskich, do koncentracji ziemi w rękach wydajnych rolników? To przecież najkrótszy krok właśnie do rozdrabniania gospodarstw, do wyzbywania się „zbędnych” hektarów, do zmniejszania produkcji, do sprzedaży towarów poza skupem. Niestety, rolnik ponagłony większym podatkiem nie zwiększy swojego wysiłku, swojego nakładu pracy fizycznej. Powszechnie wiadomo, że w 70 procentach demografii wsi mamy do czynienia z ludźmi starymi lub starszymi, Ci sami rolnicy nie zwiększą również obrotów swych maszyn i narzędzi — prywatny „park maszynowy” rolnictwa indywidualnego jest straszliwie wyeksploatowany, przeciążony, a co najważniejsze — daleko niewystarczający w stosunku do potrzeb. Rezerw produkcyjnych, neutralizujących podwyżkę podatków a także podwyżkę cen wszystkich towarów, należy szukać w tysiącach hektarów gleb uprawianych ekstensywnie; w każdej wsi, w każdej gminie wiadomo, gdzie, u kogo znajdują się te ukryte ugory. Rezerw trzeba szukać w ulżeniu rolnikowi w jego pracy przez wzrost dostaw maszyn i narzędzi o godziwych — powiedziałbym — o uczciwych cenach. Bo sam proponowany system podatkowy, w oderwaniu od obecnej sytuacji rolnictwa, od relacji cen, jest projektem do przyjęcia. Zbożu, jako towarowi parytetowemu cen, nadaje się rangę nośnika wartości. Wprawdzie w normalnej gospodarce rynek i tylko rynek ustala wartość towarów, a nie unifikujące decyzje przy stoliku, przeważnie sprzeczne z wartością rynkową — to jednak te konkretne 2,5 kwintala zboża, stanowiące około 10 proc. całego plonu z hektara, powinno przemawiać do przekonania, tym bardziej, że dopiero w 1986 roku, a więc po dwóch latach gospodarczych, znacznie w pełni obowiązywać ten wymiar. Rolnik — tak sądzę — bez uszczerbku dla opłacalności, dla swojego łącznego dochodu, zgodzi się na tę dziesięćkę, byle za resztę dostał godziwą cenę. Byle przemysł i cały administracyjno-towarowy system obsługi jego gospodarstwa pozwalał mu — przy tym samym nakładzie pracy — zwiększać wydajność z hektara i z obory.

Henryk Pająk

ZSP po raz drugi

Dokończenie ze str. 1

wykorzystania wolnego czasu, władze ceniły Zrzeszenie jako partnera w realizacji procesów naukowo-dydaktycznych oraz w rozwiązywaniu bieżących kłopotów socjalno-bytowych studentów. Przynależność do ZSP, uważano za samodzielną organizację społeczno-zawodową otwartą dla osób o różnych światopoglądach, nie wykluczając jednocześnie udzielania się w szeregach związków politycznych. Mimo pokrywania się niekiedy funkcji i metod działania ZSP, ZMS, ZMW, ZHP czy AZS — przez kilkanaście lat koegzystencji wytworzył się specyficzny mechanizm harmonijnej i efektywnej współpracy, która mieszając się z elementami konkurencji, stanowiła wspaniałą szkołę demokracji, tolerancji i obywatelskiego wychowania. Aczkolwiek ZSP było członem najliczniejszym i najbardziej wpływowym, wypada nadmienić, że istniały uczelnie, a nawet całe środowiska, gdzie główny ton nadawali zetemesowcy lub zetemuowcy. Zależało to od aktywności i pomysłowości samych członków poszczególnych organizacji. Zresztą sytuacja co pewien okres się zmieniała ze względu na stałą rotację kadr, wymuszoną tokiem studiów.

Popularność i obiektywna efektywność zetespowskiej formuły polegała na daniu młodzieży niemal pełnej swobody w wyborze form i środków urzeczywistniania założeń statutowych. Ten brak skrepowania sprzyjał np. wyzwalaniu się młodzieńczej energii w obszarze kultury, sztuki, sportu czy turystyki. W rezultacie bezustannie pojawiały się nowe kluby, kabarety, grupy literackie, zespoły muzyczne, teatry. Jedne z nich szybko zniknęły, inne istniały dopóki założyciele nie zdobyli dyplomów akademickich, część przetrwała próbę czasu. Osiągnięcia wszystkich pomnażały dorobek studenckiej kultury, wysoko notowanej w skali kraju. ZSP sprawowało ponadto opiekę nad kołami naukowymi, inicjując wiele akcji i badań o znaczeniu nierzadko wykraczającym poza granice środowiska. Pole do popisu otwarte było dla każdego, zaś najambitniejsi i najzdolniejsi, wyszukujący sobie do eksperymentów „ugory”, zawsze mogli liczyć na poparcie patrona i uznanie otoczenia. W uczelniach, akademiach, klubach, stołówkach i ośrodkach wczasowych ważką rolę odgrywały organa samorządu studenckiego, podlegające ZSP. Dzięki nim wzmacniało się znakomicie poczucie współodpowie-

dzialności za los swój oraz towarzyszy doł i niedoła, za szkołę, miejsce zakwaterowania, wypoczynku itd. Reprezentowało wreszcie Zrzeszenie ogół studiujących wobec instytucji państwowych, organizacji politycznych i społecznych oraz na arenie międzynarodowej. W ZSP nabywało i doskonaliło swoje umiejętności w kierowaniu zespołami ludzkimi oraz w przygotowywaniu najróżniejszych imprez tysięcy osób, zasilających następnie gospodarkę narodową.

Wiosną 1972 r. zaczęły krążyć słuchy o zamiarze powołania jednolitej organizacji studenckiej. Podczas wakacji na warszawskich Jeziorkach — akademickim osiedlu złożonym z drewnianych domków, w których mieszkali niegdyś budowniczości Pałacu Kultury i Nauki — zlokalizowana została Centralna Szkoła Aktywu ZSP. Turnusy trwały po dziesięć dni. Ja brałem udział w pierwszym, sierpniowym. W planie zajęć dominowały spotkania i rozważania dotyczące zmian w ruchu studenckim. Temperatura zebrań szybko przewyżyła o całą skalę panującą na dworze upały. Kolejni lektorzy bezowocnie próbowali wytłumaczyć nam konieczność modyfikacji czegoś co według nas było niezłe w teorii, sprawdzilo się w praktyce, posiadało sporo doświadczeń i znaczący dorobek. Z niecierpliwością czekaliśmy na rozmowę z przewodniczącym Rady Naczelnej ZSP — który jednak wygłosił prelekcję utrzymaną w tym samym tonie, co poprzednicy. Argumenty sfera nie traflały zgromadzonym do przekonania. Rzeczowe riposty, zwłaszcza przedstawiciele środowisk krakowskiego i warszawskiego, a także próby o przekonanie władz politycznych, by zrezygnowały one z forsowania niepopularnej koncepcji, orzeczowniczą kwitował uparty twierdzeniem, iż nie może sobie pozwolić na niewykorzystanie szansy. Jaka się zarysowała przed ZSP, ZMS i ZMW na zakrębie historii. Z mieszanymi uczuciami opuszczaliśmy stolicę.

Po rozpoczęciu roku akademickiego dyskusje przeniosły się do rad okręgowych, uczelnianych i wydziałowych. W instancjach ZMW i ZMS zdania również były podzielone, lecz pewien odsetek aktywistów tych organizacji gorliwie popierał ideę fuzji. Ponieważ odgórnie przewidywano, że po połączeniu funkcje kierownicze rozdzielone będą po równo między reprezentantów ZSP, ZMS i ZMW, a nie proporcjonalnie do liczby stowarzyszonych (choć na dalszą metę nie miało to większego znaczenia), liczyli oni na objęcie eksponowanych stanowisk. Zasada ta powodowała dodatkowe rozdrażnienie; niezantagonizowana do tej pory młodzież, chcąc nie chcąc, klóciła się pomiędzy sobą, ale i tak nie do niej miało należeć ostatnie słowo. Wkrótce za fasadą frazesów o jedności pozbawiono ją Zrzeszenia, organizacji nie bez słuszności zwanej najdemokratyczniejszą wtedy w Polsce, jedynej bodaj, w której nie obowiązywały żadne zwroty grzecznościowe

w rodzaju *druhu, towarzyszu, panie* czy *obywatelu*, a wszyscy byli równymi sobie koleżankami i kolegami.

Chociaż po rozwiązaniu ZSP usunęły się zażem ze szkół wyższych ZMS i ZMW, tajemnicą poliszynela było, iż komuś chodziło o rozbić organizację wiodącą. Wrażenia tego nie osłabiły tłumaczenia, jakoby SZSP połączyć miał wszystko to, co było najlepsze w pracy jego poprzedników i że nie wartościowego z ich osiągnięć nie zostanie uronione. Nie przekonywało twierdzenie, że nareszcie studenci otrzymali związek na miarę swych potrzeb i aspiracji. Wiedzieliśmy, że ze strony określonej grupy decydentów, zbyt dogmatycznie pojmujących swój mecenat nad Zrzeszeniem, kierowano pod adresem ZSP zarzuty zbyt małego zaangażowania w kształtowanie świadomości ideowo-politycznej rzesz członkowskich. Takie insynuacje nie wróżyły dobrego jutra. Od znajomych pracujących w Radzie Naczelnej wiedzieliśmy, że pomysł połączenia trzech organizacji w jedną miał w budynku przy ulicy Ordynackiej 9 w Warszawie pokażne grono oponentów.

W moim skromnym mniemaniu maskowana ingerencja w sprawę ruchu akademickiego stanowiła poligon doświadczalny dla poczynań liderów pogrudniowej ekipy władzy, realizującej swoją wizję nowego ładu w państwie, często wbrew sądom ludzi bardziej kompetentnych, bądź najwyżej za interesarstwo dobrem kraju. Zaufania jakim darzony Edwarda Gierka, mające swe źródło w aprobacie jego ówczesnej polityki społeczno-gospodarczej, pozwoliło na dokonanie owej „reorganizacji” w sposób prawie niezauważalny dla pozostałych środowisk. Kto wie, czy nie odtąd właśnie zaczęły się nasilać symptomy arogancji władzy względem społeczeństwa. Był to poważny przypadek choroby ogarniającej aparat biurokratyczny, coraz panicznie bojący się inicjatyw oddolnych z uwagi na ich spontaniczność, bezinteresowność, innowacyjność, niemożność ujęcia w sztywne zestawienia i plany. Dla tego aparatu to stawało się najlepsze, co sprzyjało jego partykularnym interesom lub wzmacniało samopoczucie zwierzchników. Podobne reakcje podwładnych zawsze rodzą u okłamywanych rządzących przeświadczenie o nieomylności.

O działalności SZSP nie chcą się szerzej rozwodzić, jako iż od ładnych paru lat problematyka studencką zajmują się wyłącznie okazjonalnie. Początkowo skupił on wokół siebie większość członków dawnych organizacji i niewątpliwie może się niejednym pochwalić. Z biegiem czasu jednak, w miarę narastania kryzysu systemowo-ekonomicznego w kraju, jego liczebność spadała. Część funkcji wcześniej pełnionych społecznie obsadzono etatowymi pracownikami. Po sierpniu 1980 r. Związek, uznany za sztuczny wytwór „minionej epoki”, stracił wpływy i pozycję. Prof. Wiesław Skrzydło, I sekretarz KW PZPR w Lublinie, w wywiadzie udzielonym Katarzynie Kopyńskiej, dziennikarce tygodnika „Argumenty” (nr 37 z 1982 r.), powiedział m.in.: „Kiedyś ta studencka organizacja skupiała nawet siedemdziesiąt procent młodzieży. Na koniec ub. r. akademickiego należało do niej w Akademii Medycznej piętnaście — siedemnaście procent studentów, w uniwersytecie — czternaście — piętnaście, na politechnice — dwa, a jedynie w Akademii Rolniczej sześćdziesiąt”.

Gwoli ścisłości dodam, iż w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim SZSP nigdy nie powstał. Dla zobrazowania sytuacji przed „połączeniem” przytoczę stan zorganizowania w ZSP w naszym mieście (na podstawie materiałów na XI Okręgową Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą, jaka odbyła się 26 marca 1972 r. w sali widowiskowej „Chatki Zaka”, które pieczołowicie przechowują wraz z innymi pamiątkami z okresu studiów na Wydziale Ekonomicznym). Według informacji na dzień 1 lutego 1972 r. Zrzeszenie grupowało w UMCS — 84,0 proc. ogółu studentów, w WSR — 91,4 proc., w AM — 90,1 proc., w WSI — 82,9 proc., w KUŁ — 52,1 proc. Porównanie danych z lat 1972 i 1982 nie wymaga komentarza. W innych ośrodkach akademickich kraju sytuacja wyglądała podobnie.

„Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki” — powtarzał ongiś Heraklit z Efezu i trudno odmówić mu racji. Nie będzie więc otworzone *ZSP* tym samym w nowej srodze, bo po prostu zmieniły się realia. Czy stanie się równie masową organizacją jak przed kilkunastu laty, zdecydować będą różni czynniki. Przewodniczącym Rady Naczelnej Zrzeszenia, Cezary Droszczyński, w wypowiedzi zanotowanej przez Zbigniewa Biadkowskiego dla tygodnika „Tu i Teraz” (nr 8, 1983 r.) dał wyraz swemu umiarkowanemu optymizmowi. Oto jej fragment: „Jednocześnie chciałbym przestrzec przed oczekiwaniami, że będzie to organizacja skupiająca 90 proc. środowiska. Chcemy organizacji 30-40-procentowej, ale organizacji ludzi aktywnych”. Tymczasem budowa struktury ZSP i nabór kandydatów przebiegały opornie. Trochę światła na powody hamujące ten proces i na rozterki wewnętrzne przeżywane przez przyszłych magistrów rzucają wyniki mini-ankiety przeprowadzonej na Uniwersytecie Warszawskim, a publikowane na łamach tego samego numeru „Tu i Teraz”. Podobne spostrzeżenia znajdują się w tekście Jacka Zadurskiego i Zygmunta Kwiatkowskiego: „Pytanie o przyczynę studenckiej pasywności”, jaki ukazał się w nr 20 „Sztandaru Ludu” z bieżącego roku. Szeregiem opisuje bolączki odnawiającego się powoli ZSP centralna i lokalna prasa studencka. Nie będąc ich szczegółowo omawiając, ponieważ są one typowe dla obecnego okresu przewartości, chaosu myślowego i wątpliwości milionów Polaków. Podziały są i w tej społeczności (studenckiej) głębokie, ale w wielu kwestiach nie powinny przesłaniać wątków zasadniczych, zbliżnych dla różnych światopoglądów i orientacji.

Doświadczenia sześciomiesięcznego okresu istnienia ZSP są zbyt skąpe, by silić się na wyciąganie dalekowzrostnych wniosków. Niedługo najstarszy rocznik wkroczy w samodzielne życie. W październiku przyjdą absolwenci szkół średnich, którym uda się przebrnąć przez sito egzaminów wstępnych. Fala posierpniowego entuzjazmu opadła, napięcia zlagodniały. Oż, życie kołem się toczy i nie znosi pustki. Mając w pamięci pozytywne obserwacje z przelomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, których częścią podzieliłem się z Czytelnikami „Kamena”, starając się nie kłóżyć wspomnień, oświadczenie, że ZSP ma szansę utrafić w studenckie oczekiwania. Pomóc mu w tym może umiejętne wyzyskanie, również siły gustu i płynącej z legendy pierwowzoru. Obawiać się jednak też musi Zrzeszenie porażki, jeśli nie zdoła spełnić pragnień środowiska.

Jan Tarajko

Czyżby zmierzchn gwiazd?

HEAVY rock porusza, heavy rock fascynuje! Ta najbardziej dynamiczna z rockowych odmian (co nie znaczy wcale: najatrakcyjniejsza) muzyka, o sie gotowej strząsnąć beton i na wieżach na świecie liczne zastępy zagorziałych sympatyków. Dzięki nim zespoły typu Judas Priest, Iron Maiden, AC/DC czy Rush mogą dalej spać spokojnie na workach zielonej „mamo”. Moda nakreśla koniunkturę, więc wykonawców heavy metal nie brakuje i u nas. Majowy półfinał Turnieju Młodych Talentów rozegrany w Lublinie (notabene o „fatalnym poziomie”) obfitował w grupy strojące się w piórka propagatorów heavy metal. Prymat w tej konkurencji należy oczywiście do TSA, uważanego u nas powszechnie za jedną z najznakomitszych rockowych „kapeli”.

Wiadomość o występach Idoli w naszym mieście zdopinguwała wielu fanów. „TSA jest wspaniałe” — twierdzą entuzjastycznie, obnosząc reklamowe napisy na plecach bawelnianych koszulek. Akceptacja opolskiej piątki w gronie nastolatków jest powszechna. Muzycy TSA cieszą się sławą supergwiazd. Nie bez powodu. Mieszkają w „Forum”, „Kasprowym” i „Mercurym”, bywały w eleganckich restauracjach, ubierają się zgodnie z nakazami mody. Każdy koncert w najodleglejszym zakątku kraju ma z góry zapewniony komplet słuchaczy. Pięty TSA — da spod ław tak rzetelnie a stopnia i plakatami, znaczkami i fotosami grupy obiegane są tłumnie w każdym mieście i czasie. Nastoletni fani kochają heavy rocka, co pozwala obrotnym sprzedawcom „pamiątek” uszczelniać niemalże całe inflacyjne pieniędzy z portfeli nastolców.

W przedostatnim dniu maja do hali WOSiR śledzeni tłumnie młodzi i starsi entuzjastycznie głośnej muzyki TSA. Obecność ekipy telewizyjnej, restauracji film dokumentalnej o zespole, podnosiła w ich przekonaniu rangę im-

prezy. Koncert rockowych Idoli to święto młodości i festiwal absolutnego luzu, na jaki czeka się trzydzieści bezbarwnych dni wypełnionych bytaniem w szkole i konfliktami z otoczeniem. W obecności zebrańco odzianych na scenie muzyków, przyskają kłopoty i zahamowania. Przy akompaniamencie gitar można wreszcie szaleć do woli, zdzierać gardło, tańczyć, wiatować i palić papierosa bez obawy o reprimendę ze strony starszych. Rozdzierająca uszy muzyka jest lekarstwem na wszelkie stresy. Koncert rockowy pozwala być wreszcie sobą. Wyciąga się więc z szafy najbardziej znoszone dżinsy, flanelową lub bawelnianą koszulę i kolorową (najlepiej różową lub fioletową) przepaskę na włosy. To atrybuty rockowej demokracji. W kolorowym tłumie wszyscy są równi, pogodni, radośni. Muzyka ma dodawać im skrzydeł, wyzwalając z nudy i szarej rzeczywistości.

Trzeba być jednak autentycznie zaślępionym fanatykiem, by nie dostrzec miłośności oferowanego przez grupę programu. Fani przysili tu podziwiać gwiazdorzów, ci zaś najwyżej w świecie nadużywają ich zaufania. Grają dziś znacznie poniżej przeciętnej możliwości. Nie silą się, jak kiedyś, na oryginalność, bo i po co? Przecież nikt im nie może zagrozić. Pewni swego, pozwalają sobie na „odpuszczenie” koncertu. Kamery telewizyjne już nie dopingują. I tak do filmu wybierze się najlepsze fragmenty zarejestrowanych wcześniej występów. Gitarzyści mają w zapasie cały arsenal wywiedzionych gestów i min. Cztery podskoki, dwa zwroty bokiem, sidony gitarą, przetrząta instrumentu nad głową i mina pacjenta oddziału zamkniętego. Do tego wszystkiego trochę gimnastyki wieczornej. Robili to setki razy, więc spróbują i dziś. Bateria kolorowych świateł wesprze ich wysiłki.

Niestety, w miarę rozkręcania tempa koncertu mit TSA biednie z minuty na minutę. To już nie dawny blask i huraganowy aplauz tysięcy gardel. Muzyka nie jest tak spontaniczna, jak reklamowano ją w chwili debiutu. Na dodatek natrętne podobieństwo utworów sprawia, że powstają nudne dla odbiorcy, kilkunastominutowe dłużyzny. Aranżje są zbyt schematyczne, muzyka wyprana z pomysłowości melodycznych, a brzmienie podporządkowane dudniacemu rytmowi. Nie z tego dla słuchacza nie wynika. Widac za to brak logicznej spójności programu i dramaturgii widowiska. Na dobrą sprawę można by grać numery w odwrotnej kolejności lub pozamieniać tempo i teksty piosenek. I tak publiczność by się nie zorientowała. Zresztą jak, w takim niekiedy halasie? Jedyną wyznacznikiem radości twórczości TSA jest właśnie notna dawka decybeli. Ma ona w przekonaniu wykonaw-

ców rekompensować wszystkie niedostatki warsztatu i muzyki. W rzeczywistości zaś jagot gitar zastusza zupełnie ledwie chrypiące soliste. Może to i lepiej, że do fanów nie docierają teksty, które w założeniu miały być poezją codzienności. Zbytnią skłonność do uproszczenia częstochowskie oraz plebejska frazeologia odbierają im bowiem rangę poezji.

Tumult pod sceną, uzewnętrzniany starcami wożonych na barkach kolegów „kowbojów”, potrącaniem okolicznościowych transparentów i utarczkami ze służbą porządkową, nie robi wrażenia na muzykach. Dla nich ta zabawa nie może trwać zbyt długo. Po 65 minutach nerwowo i bardzo głośno gry zęgnają się z publicznością szandarowym „TSA Rockiem”. Zaskoczeni fani próbują protestować gwizdami. Na próżno. Gasną światła rampy i muzycy znikają za kulisy.

Koncert, który na dobrą sprawę mógł się odbyć w Szczecinie, Peimiu czy Nowej Wsi, jest okazją do refleksji nad kruchością statusu rockowej gwiazdy. Można nią zostać bardzo szybko i bardzo szybko zniknąć z firmamentu. Przykład TSA wydaje się znamieny. Przed dwoma laty promozje startującej grupy *Intyre* — mała liczność i krytyków. TSA zdążyło zaledwie nagrać dwie płyty, a sława, która powinna teraz nabierać blasku, sypie się w proch. Może to zastąga sodowej wody, uderzającej się w głowę przy nadmierze nieoczekiwanego szczęścia, lub po prostu kres możliwości twórczych. Faktem jest, że TSA zamiast porwać dynamiką i ekscytacją koncertów i musi to z czasem oddać się na frekwencji koncertów i zainteresowaniu poczryniami grupy. Już dziś wielu fanów osłuchanych z produkcjami Motorhead, Scorpions i Judas Priest kręci z dezaprobata głowa na koncertach TSA. Nie zdziwi się przeto pamięta. Zwolnione miejsce w lo kto będzie i zespole pamięta. Zwolnione miejsce w lo człowiek zajmą nowi, młodzi, młyniejsi, bardziej

metal z Opola. Muzyczne szalbierstwo, poparte choćby gigantyczną reklamą, nie ma szans dłuższego przetrwania. Warto o tym pamiętać.

Istvan Grabowski

BRUCE LEE: prawda i legenda

- 2 -

America is great

Michał Rey

Po dwóch dniach „Kamena” z pierwszym odcinkiem serialu o „Małym Smoku” zniknęła z kiosków. Tego jeszcze nie było. Przypuszczamy również uczucie, że tego nie spodziewaliśmy się. Otrzymałmy także wiele sygnałów telefonicznych na temat samego Bruce’a Lee, jego kariery, legendy i śmierci. Także konkretne wskazania co do treści dalszych odcinków i „zapotrzebowania”. Padły dwie propozycje, które pozwalamy sobie przytoczyć. Autorem pierwszej jest Ewa Sulikowska, uczennica z Lublina. Proponuje ona wydanie plakatu z Bruceem Lee, który miałby stanowić dodatek do „Kamena”. Odpowiadamy: ze względu na warunki poligraficzne nie jest to możliwe w perspektywie najbliższego półroczia. Informujemy jednak, że pomysł ten „sprzedaliśmy” Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich i ta czyni starania, aby taki właśnie (kolorowy!) poster wydać. O szczegółach będziemy informować. Drugą propozycję zgłosił „Danny Inosanto” (tak się podpisał). Był to, jak można przypuszczać, swolsty test znajomości problematyki „Małego Smoka” i sportów walki. Oczywiście wiemy, kim jest Danny Inosanto i będzie o nim w następnym odcinku. Sama zaś treść propozycji brzmi: zorganizować dyskusję nad fenomenem Bruce’a Lee z udziałem mistrzów wschodnich stylów walki, krytykiem filmowym, psychologiem i oczywiście samą młodzieżą. Pomysł „kupujemy”, z tym, że jego realizacja przed wakacjami nie wydaje się możliwa.

Informujemy też, że nasz konkurs na wypowiedzi o „Małym Smoku” (nagrody: 3x1000 zł i 3x500 zł oraz publikacja najciekawszych tekstów w „Kamieniu”) przedłużamy do czasu opublikowania ostatniego odcinka serialu. Pierwsze prace już nadeszły.

BRUCE Lee przybył do Kalifornii, najprawdopodobniej jesienią 1958 roku. Po przyjeździe, zgodnie z planem, zgłosił się do przyjaciół ojca mieszkających w Chinatown w San Francisco. Pierwszym z nich był niejaki Lion Wang, właściciel chińskiej restauracji. Pierwsze tygodnie pobytu w miejscu swego urodzenia Bruce poświęcił na rozglądanie się za jakimś zajęciem, co zdaje się potwierdzać wersję, iż nie wyjeżdżał do Ameryki jedynie ze stówką „zielonych”. Gdyby tak było, raczej od razu brałby jakąś robotę, chyba że... Mr. Wang był filantropem. Jak było, nie wiadomo, w każdym razie filantropia chińska (ani tym bardziej amerykańska) nie polega na fundowaniu czasów. Jeżeli już, to na pomocy w znalezieniu pracy.

W końcu młody Lee zaczyna pracować jako pomocnik w kuchni restauracji Wang, a potem jako kelner. Po pewnym czasie za radą przyjaciół, amerykańskich Chińczyków, których szybko sobie zjednał, zaczyna udzielać płatnych lekcji... cha-cha (z polską: czaczy). Reklamuje się oczywiście jako król tego tańca w Hongkongu. Numer ten graniczy z samobójstwem. Przyjeżdża jakiś Chińczyk i chce Amerykanów uczyć ich tańca. Paranoja. Zdarza się jednak rzecz dziwna, rzecz by można — typowo amerykańska: nie tylko Bruce nie zostaje odrzucony, ale nawet zdobywa pewną popularność. Przychodzą do niego zarówno kumple z Chinatown, jak i... jankesi.

Po pół roku zaczyna także ostro trenować Kung-fu i szkolić w nim swoich chińskich kolegów. Działalność ta ma jednak charakter „chałupniczy” i nie jest nastawiona na robienie forsy. Rozpoczyna także naukę w Edison Technical College, który kończy.

W tym momencie zaczynają się niejasności. Jedne źródła podają, że przebywał we Frisco pół roku, inne, że ponad rok. Gdyby założyć, że był krócej, upadałaby raczej wersja o ukończeniu szkoły. Nawet przy amerykańskim systemie wyboru zajęć. Zwłaszcza, że była to szkoła techniczna.

Jak by miało być, Bruce opuszcza Zachodnie Wybrzeże i przenosi się do Seattle, a potem do Waszyngtonu. Tu wstępuje na uniwersytet. Znowu jednak nie wiadomo na jaki. Dwa najbardziej renomowane w stolicy USA: Georgetown i Catholic są na tyle znane w świecie, że wymienia się ich nazwy bez konieczności bliższego lokalizowania. W przypadku studenta Lee mówi się o jakimś bliżej nie określonym University. Niech i tak będzie...

W uczelni waszyngtońskiej dwudziestolatek wstępuje na wydział filozoficzny, gdzie podobno szczególnie interesuje się kierunkami filozofii europejskiej, w tym także modnym egzystencjalizmem. Co do tego ostatnie-

go wyrabia sobie jednoznacznie krytyczny stosunek, czemu nie ma się co dziwić. Świat wątpliwości, rozdar-



„Gryź głuce! Dlaczego mnie nie gryziesz?”

Reprodukcja: Jacek Mirosław

cia wewnętrznego i ciągłych poszukiwań sensu życia nie może zafascynować Bruce’a. Wychowany jest w innej tradycji, innej kulturze, które to określone są przez systemy wartości i standardy odmienne od Sartre’owskich, na przykład.

Na studiach poznaje Lee swoją rówieśnicę Lindę Emery, kształcąca się na fakultecie medycznym (lub jak chcą niektórzy: również na filozofii). Wkrótce „chodzenie” z dziewczyną przetrząsa się w miłość i młodzi pobierają się.

Po ślubie Bruce czuje się jakby znudzony nauką. Zwłaszcza tak mało praktyczną, jak filozofia. Rzuca więc studia po trzech semestrach (inni twierdzą, że po roku) L... zakłada pierwszą szkołę Kung-fu. Ten fakt zdaje się — po raz kolejny — przemawiać za tym, że młody Chińczyk

nie łądował w USA jako golec. Jest także bardziej romantyczna wersja. Otóż Bruce Lee miał zachwycić swoimi umiejętnościami Lindę, a następnie jej ojca, który udzielił zapomogi na otwarcie szkoły.

Nie ma jasności, czego właściwie Bruce Lee uczył w swojej pierwszej „uczelnii”. Nie było to jeszcze Jeet Kune Do (JKD), bo ta nazwa pojawia się później. Podobnie zresztą, jak i program „ideowy” tego stylu. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, czy mógł on nauczać Kung-fu.

Zeby udzielić odpowiedzi zbliżonej do prawdziwej, trzeba sobie zdać sprawę, że w latach 50-tych i wczesnych 60-tych wschodnie sztuki walki nie były na Zachodzie popularne. W każdym razie nie tak, jak obecnie. Uprawiane były przez skupiska ludności pochodzenia azjatyckiego oraz w wojsku, co początkowo — w czasie II wojny — wiązało się z użytecznością praktyczną w walce z Japończykami, a potem z przydatnością szkoleniową niektórych technik walki (głównie zresztą judo). Dla młodego rock-and-roll’owego pokolenia Amerykanów, upajających się potęgą swego kraju, który wraz z innymi aliantami pokonał Niemcy, ćwiczenia wschodnich stylów były nie tylko nieczytelne, ale wręcz wrogie, godne pogardy. Z drugiej znowu strony — reguły Kung-fu były bardzo surowe i obejmowały także zakaz nauczania nie-Chińczyków. Kung-fu miało pozostać sztuką elitarną i hermetyczną.

Co zatem mógł zaproponować Amerykanom młody, ambitny Chińczyk? Przede wszystkim znaczne uproszczenie wiedzy Kung-fu. Wydaje się zresztą, że sam nie posiadał jej w stopniu równym mistrzom. Dotyczy to zwłaszcza układów formalnych (Kata) i podbudowy filozoficznej, jako że po

racę — gracji, czyli cechy typowo kobiecej. W tym wydaniu jedwabne Kung-fu miało polegać na błyskawicznym ataku, który zyskiwał prymat nad technikami obronnymi. Założenie było proste. Jeżeli zaatakuję błyskawicznie i atak będzie skuteczny, to umiejętności obronne są jakby niepotrzebne. Zresztą obrona miała polegać głównie na schodzeniu z linii uderzeń, a nie na stosowaniu bloków. Jedwabne Kung-fu miało przypominać bardziej taniec niż autentyczną walkę na śmierć i życie.

Ta „kobieca” modyfikacja starochińskiej sztuki walki była naturalnie negowana przez zwolenników i mistrzów tradycji. Przypuszczając, że styl ten może być skuteczny (zwłaszcza w walce z przeciwnikami mało doświadczonymi), zwracali uwagę, iż pomija on niemal zupełnie aspekty samodoskonalenia i samodyscypliny oraz całe podłoże filozoficzne. Dwa pierwsze można osiągnąć, twierdzili, tylko poprzez znużenie, wielokrotne powtarzanie Kung-fu. Ducha Kung-fu zgłębiać zaś trzeba studiami. Jedwabne Kung-fu było przejęciem w stronę sprawności ciała i fizycznej skuteczności (szybkiego eliminowania przeciwnika). Akcentował zatem tylko jedną stronę tej sztuki. Takie było stanowisko między innymi mistrza Bruce’a, słynnego Yip Mana.

Wydaje się prawdopodobne, że debiutujący, jako profesor, Lee nauczał właśnie jedwabnego Kung-fu, a i to zapewne w jeszcze bardziej zwulgowanej, uproszczonej formie. Powiązania „ideologiczne” jedwabnego Kung-fu z Jeet Kune Do są zresztą dość wyraźnie widoczne i będziemy o tym mówić nieco później.

W tym miejscu wydaje się celowe przytoczenie pewnego epizodu z późniejszej kariery Bruce’a Lee, jako swobodnego prologu do filozofii JKD. Otóż będąc już sławnym prekursorem swego stylu i aktorem filmowym, został zaproszony do udziału w programie TV Hongkong. Miał w nim przedstawić JKD, a potem miała się odbyć dyskusja, a właściwie spór „Małego Smoka” z mistrzami Kung-fu, zwolennikami tradycji. Program leciał na żywo. Bruce zaakceptował scenariusz i wydawało się, że wszystko jest o.k. Rozpoczęto emisję i nastąpiła niespodzianka. Lee zaproponował, aby nie gadać o teorii, filozofii itd., a skoncentrować się raczej na sprawach praktycznych. Wywołało to pewną konsternację, ale nie można było tej propozycji odrzucić, bowiem przed telewizorami siedziało parę milionów ludzi. W tym zdecydowana większość entuzjastów „Małego Smoka”. Prowadzący zaproponował mistrzowi Kung-fu przyjęcie pozycji wyjściowej do walki i to samo Bruce’owi, chciał bowiem zacząć od abecadła. Gwiazdor stanął naprzeciw demonstrującego układ wyjściowy mistrza, popatrzył mu w oczy, a potem... wykonał błyskawiczne uderzenie w twarz, po którym „przeciwnik” padł bez czucia na podłogę. Inni mistrzowie zerwali się na równe nogi i zaczęli głośno strofować Bruce’a za naruszenie reguł. Odpowiedział na to z uśmiechem: Ja się nie bawię. Ja walczę.

Program ten przyniósł mu kolejne rzesze wielbicieli, ale także wielu wrogów wśród ćwiczących Kung-fu. Bruce ośmieszył bowiem nie tylko swego „przeciwnika”, ale i całą sztukę walki i życia. Dało to asumpt do późniejszych spekulacji na temat śmierci Bruce’a Lee.

Innym przykładem z tej serii jest przygoda, jaką opowiada przyjaciel Bruce’a Adrian Marshall:

— Kiedyś podczas walki sparringowej z Bruceem wyraźnie mi nie szło. Raz po raz otrzymywałem potężne uderzenia w głowę i tułów, po których padałem. Podnosiłem się i znowu historia się powtarzała. W pewnym momencie udało mi się zablokować cios Bruce’a, tak że byliśmy w zwarciu, blisko siebie. Widząc w moich oczach bezsilną wściekłość Bruce wysyczał mi w ucho: „Gryź głuce! Dlaczego mnie nie gryziesz?”. Nie było w tym żadnego odstępstwa od wyznawanych przez reguły walki. Liczyła się skuteczność. Niezależnie od stylów i przyjętych konwencji. Reakcja na atak przeciwnika miała być wynikiem spontanicznego wyboru, a nie wyboru w ramach ściśle określonej gamy ciosów, zasłon, uderzeń nogą. Taki był Bruce Lee i jego styl.

I tyle na ten raz. Zakończę mało odkrywczą refleksją, iż udając się do Ameryki, Bruce Lee był zafascynowany jej wielkością. Ameryka odważniejsza Chińczykowi tę miłość i pod koniec drugiego roku pobytu nie wątpił, że wybrał trafnie.

(cdn.)

POCHWAŁA „BARIERY”

TYM razem będzie nie tyle o filmach, co o działalności, dzięki której możemy, nawet w dzisiejszych, skromnych warunkach, oglądać dobre kino. Taką właśnie działalność prowadzi od lat lubelski studencki Dyskusyjny Klub Filmowy „Bariera”, który ostatnio obchodził jubileusz dziesięciolecia istnienia. Nie wiem natomiast dokładnie, ilu-lecie pracy w „Barierze” obchodzi jego prezes, kierownik artystyczny, „zaopatrzeniowiec”, a gdy potrzeba — również prelegent, gdy zaś sytuacja tego wymaga — także bileter: mgr Piotr Kotowski. Co do jednego nie mam wątpliwości: bez pana Piotrusia nie byłoby „Bariery”. Przynajmniej — takiej, jak ta.

Okazuje się, że nawet w bardzo nie sprzyjających warunkach można robić dobrą robotę kulturalną, jeżeli znajdzie się odpowiedni człowiek i kiedy zapewni mu się „luzy” w działaniu. Inaczej — gdy da mu się wolną rękę, nie kontroluje bezustannie, nie zagłada do garnków, nie podejrzewa, czy aby nie okradł państwa na delegacji i dziecie, nie prowadzi wrogiej działalności oraz czy nie założył przypadkiem na zapleczu kasy biletowej nielegalnego kiosku z warzywami, który przynosi fenomenalne dochody i wobec tego należy go natychmiast rozliczyć!

Poza tym Piotra Kotowskiego na ogół nie opuszcza dobry humor, potrafi znaleźć wspólny język ze studentami, a co najważniejsze, jak wygłasza przed pokazem filmowym swoje informacje-prelekcje, to go słuchają! Ma rozliczne kontakty towarzysko-zawodowe wśród krytyków filmowych, w Filmotece Polskiej, w telewizji, w zespołach filmowych, w OPRF-ach, a także w działających w Warszawie zagranicznych ośrodkach kultury i w niektórych ambasadach, skąd wypożycza filmy, o jakich ani marzyć na ekranach normalnych kin. Takie kopie filmowe są z zasady wypożyczane tylko na jedną dobę (często trzeba je-

szcze pospiesznie przed seansem robić tłumaczenie z obcojęzycznej listy dialogowej), nie więc dziwnego, że Piotr Kotowski — jak sam o sobie powiada, gdy go pytają o adres — mieszka głównie w wagonach kolejowych. Innymi słowy: jest już dzisiaj człowiekiem bardzo zasłużonym dla lubelskiej kultury, chociaż nikt jakoś nie pomyślał, żeby potwierdzić to oficjalnie odpowiednią odznaką.

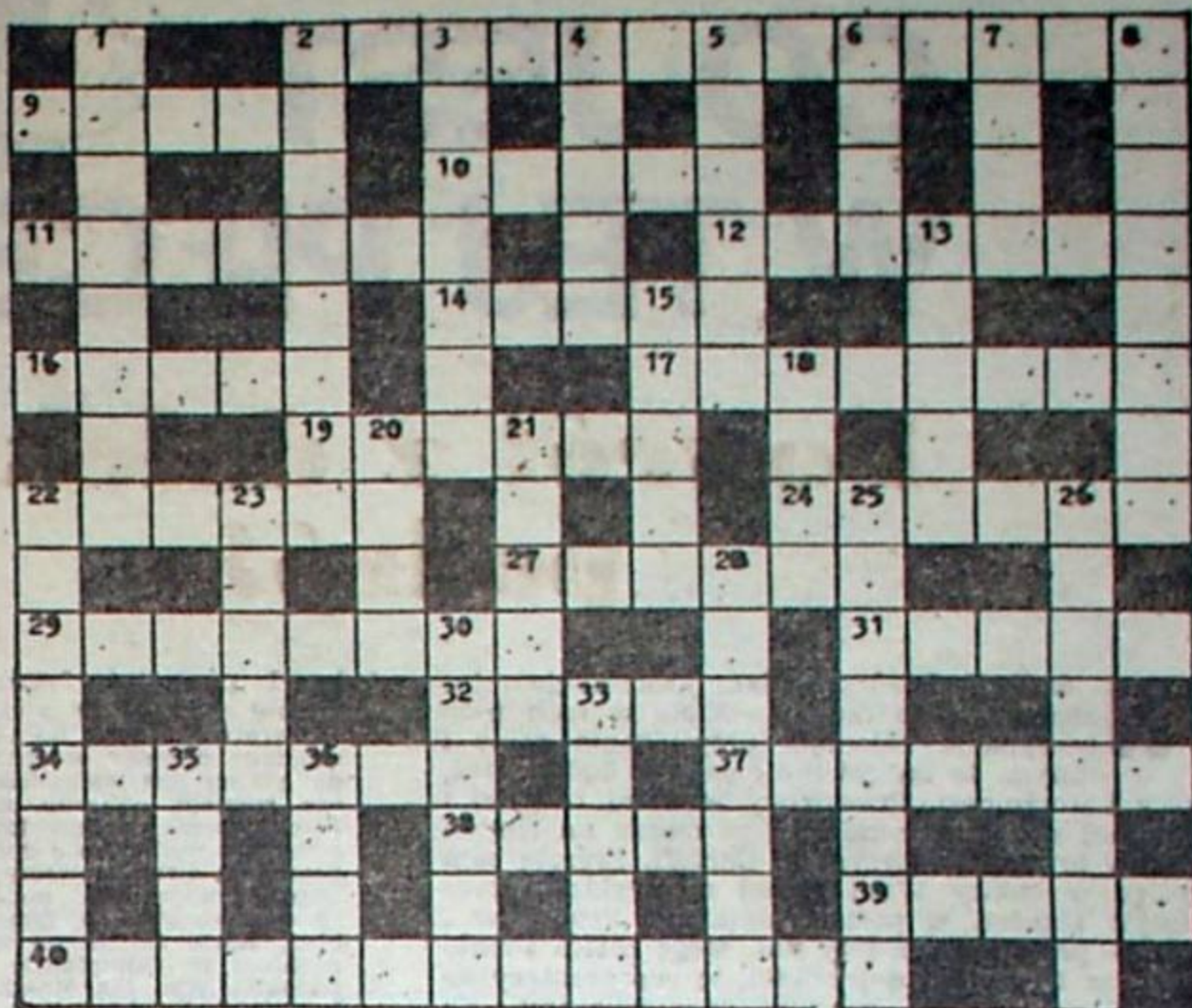
Posiada doskonały zmysł organizacyjny oraz dużą wiedzę filmową, nie należy się więc zupełnie dziwić, że — w myśl znanej nam wszystkim dobrze prawidłowości — jeszcze do niedawna pracował w „Chatce Zaka” na etacie starszego... biletera. Teraz awansował na kierownika artystycznego. W innych krajach instytucje kulturalne lub przedsiębiorstwa rozpowszechniania filmów byłyby się o takich ludzi jak pan Piotr, nęcąc wysokimi pensjami i kierowniczymi stanowiskami. Czasem jednak myślę sobie, że lepiej może tak jak jest: jakby Piotra Kotowskiego zabrali do administracji, to by na tym tylko kultura ucierpiała.

Specjalnością „Bariery” są cykle tematyczne: oglądaliśmy kiedyś w klubie doskonałe kino republik radzieckich, cykle: „Węgierski czas teraźniejszy”, „Kino rozlicza faszyzm”, „Słynni aktorzy, wielkie role”, itd., itd. Ostatnio pokazano filmy z Marilyn Monroe, była to zresztą tylko jedna z postaci w całomiesięcznym maratonie-gigancie filmowym zorganizowanym z okazji jubileuszu dziesięciolecia klubu. Ci, którzy zdołali dostać karnety, oglądali niezwykle ciekawe i niedostępne na ogół dla przeciętnego widza najnowsze pozycje kina francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego, chińskiego... W sali kinowej siedziano w fotelach, na oparciach, na schodach, na podłodze oraz na kolanach kolegów. A jeszcze na zewnątrz stały tłumy, które nie wylamały drzwi wejściowych tylko dzięki świetnej organizacji społecznej służby porządkowej „Bariery”.

W sumie dziesięciolecie DKF „Bariera” było, moim zdaniem, najlepszą i najbardziej znaczącą z wiosennych lubelskich imprez kulturalnych: „Ekrany i widz” gratuluje i prosi o jeszcze.

M. D.

KRZYŻÓWKA NR 17



Poziomo: 2. pisarz francuski, przedstawiciel wczesnego romantyzmu, ale też wynalazca krwistej polewicy, 9. jednoczesny wystrzał, 10. w szkole i społeczeństwie, 11. wiosenne grzyby, 12. bzdura, absurd, 14. miasto i uzdrowisko w woj. kieleckim, 16. państwo w Azji, drugie na świecie pod względem liczby ludności, 17. masy skalne, które zsunęły się po stoku górskim, 19. mieszkanie Kaukazu, którego współplemieńcy są twórcami znanego tańca ludowego, 22. zamieszanie, wrzawa, 24. stworzenie, 27. letni pantofel, 29. nauka języka obcego na wyższej uczelni, 31. pisarz niemiecki, autor antywojennych i satyrycznych utworów np. „Mój General”, 32. brazylijski pisarz i działacz socjalistyczny, 34. wielka wyspa indonezyjska, 37. trzy miesiące, 38. opera Paderewskiego, 39. pisarz polski, autor powieści „Grypa szaleje w Naprawie”, 40. polski pisarz, modernista.

Pionowo: 1. stolica Nepalu, 2. pisarz amerykański, autor „Poletka Pana Boga”, 3. broń palna z XVI wieku, 4. ludowy obrzęd w wielkanocny poniedziałek, 5. dziadek Zeusa, 6. pisarz niemiecki, uczestnik wojny hiszpańskiej i autor książek na jej temat, 7. okres najwięzszego rozwoju władz umysłowych człowieka, 8. rozproszenie narodu wśród innych narodów, 13. autor „Podróż Guliwera”, 15. miasto wojewódzkie, 18. związek, połączenie, 20. droga fal radiowych, 21. o nich się nie dyskutuje, 22. luneta astronoma, 23. port rybacki i lotnisko nadmorskie, 25. wieszak, 26. poeta i pisarz gwara podhalańska, 28. rozmowa, dyskusja, 30. przyjaciel d'Artagnana, 33. szczególne upodobania, 35. gryzoń naszych pól i piwnic, 36. koło zębate.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 15

Poziomo: Piekło, zbieg, Opoła, Szczawiej, Nogat, Aduga, kompresor, chata, ryza, front, Krak, Ikar, bank, smar, sezon, Rota, rampa, kamikadze, czoło, Gorki, wyrzutnia, Turek, ogrom, kwiaty.

Pionowo: Kornacki, Borgia, pestka, Krzeptowski, bojar, Eurydyka, gips, Sława, Erituzjastki, Orkan, terma, Rabka, farsa, astrolog, Krasicki, racja, regaty, murarz, Kowno, Mara. Nagrodę wylosowała Danuta Cholewińska, ul. Leonarda 13 m. 39, 20-625 Lublin.

ARCHIWUM MISTRZÓW I ANEĞDOTY

Jan Zamoyski, hetman wielki koronny, wyrobił Janowi Kochanowskiemu przywilej na kasztelanię, jednakże poeta zrzekł się tego zaszczytu, oświadczając:

— Dziękuję za honor, ale kasztelana Kochanowskiego do swego domu nie wpuszczę, bo zmarnowałby to, czego się dorobił Kochanowski poeta.

Franciszka Karpińskiego, autora „Sielanek”, swego czasu napabylwał w towarzystwie jakiś młodzik, wychwalając zagraniczną poezję i wyśmiewając język polski.

— Waćpan podobno jesteś poetą — zwrócił się do Karpińskiego — może nam więc powiesz, jak dobrać rym do wyrazu „cietrzew”?

Karpiński natychmiast zaripostował:
— Spomiędzy drzew wyleciał cietrzew. Szukał bałwana i siadł na waćpana!

Adam Mickiewicz, mówiąc w 1840 roku w College de France o sympatii Polaków do Francuzów oświadczył, że sympatia ta jest tak wielka, iż każdy Polak już czwartego dnia po przybyciu do Francji umie mówić po francusku.

Słyszac to pewien Francuz rzekł:
— Z tego wynika, że pan Mickiewicz przebywa we Francji dopiero trzeci dzień.

Stefan Zeromski wybił kiedyś niechętny szybę w tramwaju warszawskim. Policjant spisujący protokół zapytał:

- Nazwisko?
- Stefan Zeromski.
- Zawód?
- Pisarz.
- Gminny czy powiatowy?
- Pisarz polski — odrzekł Zeromski.

Wyszperał: Ryszard Dunin

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

ogłasza konkurs

na stanowisko dyrektora „Domu Chemika” w Puławach.

WARUNKI:

- ukończone studia wyższe (kierunki humanistyczne i pedagogiczno-kulturalne)
- sześcioletni staż pracy w resorcie kultury
- aktywność w życiu społeczno-politycznym
- warunki pracy, płacy wg obowiązujących w resorcie kultury przepisów
- istnieje możliwość otrzymania mieszkania.

OFERTY NALEŻY ZGLASZAC W TERMINIE DO 15 LIPCA 1983 R. POD ADRESEM: WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI, URZĄD WOJEWÓDZKI, UL. 22 LIPCA 4, 20-950 LUBLIN.

3002/K

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stepien (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek. Korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 255-30.
Druki: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-623 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-52, sekretarz redakcji 214-53, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

CO JEST W TEJ PIŁCE?

Powrót z dalekiej podróży

NA TEN dzień czekałem kilkanaście miesięcy. Bardzo długich. Wiele w nich było rezygnacji, załamania, przysięgania sobie i innym, że na coś mnie jeszcze będzie stać, pracy katorżniczej. Prawdziwy sens tej twardej i brutalnej szkoły zrozumiałem po meczu na Ninian Park w brudnym i brzydkim Cardiff. Zresztą sam występ w stolicy Walii zaczął mi wylazić przez włosy i skórę, w postaci siniaków, krwiaków i otarć — przez kolejne trzy dni. Mogę zatem śmiało dodać, że i egzamin dojrzałości, te reprezentacyjną maturę przeszedłem solidnie sponiewierany. Na szczęście tylko fizycznie.

Wielokrotnie później oglądałem zapis filmowy meczu i przekonywałem się, skąd te moje siniaki. W ferworze gry, kiedy najważniejszym zadaniem była skuteczna interwencja, patrzyłem tylko na piłkę. Mniej już na dzieńmienna Hockey'a, który ilekroć mógł, uderzał mnie pięścią lub łokciem w zamieszaniu podbramkowym. Ustawiłem też, od kogo otrzymałem cios w żołądek po dośrodkowaniu z kornera w drugiej połowie. Boksował Roberts. Nie żałował sobie także Toshack. Kopnął mnie nawet w nerki, kiedy leżałem już z piłką po zakończonej akcji i strzale kogo innego niż właśnie on! W meczu tym zdarzyła się rzecz dla mnie dziwna. Opinie, jakie wypowiadali znawcy futbolu wyspiarskiego mówili, że gra się za Kanalem La Manche ostro, twardo, ale fair. Bo tacy są zawodowcy: nie idą na chłama, zdając sobie sprawę, że kontuzja oznacza uszczerbek finansowy. Jeżeli ja skoszę, to i mnie mogą podobnie „wypłacić” i w sumie nie z tego korzystnego nie wynika. Niestety, okazało się, że reguły te nie mają zastosowania do przeciwników spoza ligi angielskiej. Poobijany byłem zresztą nie tylko ja. Ślady kontaktów z piłkarzami walijskimi nosili także Włodek Lubański, Leszek Cmikiewicz, Jurek Gorgoń (mimo swojej postury i zadziorności), Robert Gadocha i inni... Z tym, że oni zostali także „obici” przez opinię publiczną: za grę, a ja — nie.

Dobre recenzje zacząłem zbierać już w Walii i Anglii. Pochwalił mnie trener Dave Bowen, stwierdzając ponadto, że jedyną indywidualnością w polu był Lubański oraz że w pojedynkach z Anglikami nie mam żadnych szans. Cóż miał zresztą mówić, skoro Walia, po remisie w Londynie, oberwała w Cardiff 0:1 i to był wynik skromny (bo mogło być 0:3). Dla pamięci — tabela wyglądała wówczas tak:

1. Walia	1	1	3:2
2. Anglia	1	1	2:1
3. Polska	1	0	0:2

1 zdecydowanie przemawiała na korzyść drużyny Alfa Ramsay'a.

pozytywnie pisał o mojej grze „The Sun”, „Daily Mail” był zdania, że uratowałem drużynę od wyższej porażki, a „Daily Express” dziwił się, jak obroniłem strzał Jamesa w 10 minucie spotkania, określając to jako rzecz niewiarygodną.

Tytuły naszej prasy gromiły drużynę w sposób jednoznaczny: „Zimny przysięca na stadionie w Cardiff”, „Nieudana wyprawa do Cardiff”, „Olimpijskie złoto nie wytrzymało walijskiej próby”, „0:2 z Walią zmniejsza szanse na finał Mistrzostw Świata” itd. Jednocześnie w podtytułach stało: „Tomaszewski uchronił zespół polski (od wyższej porażki)”, „Wspaniały pojedynek bramkarzy w Cardiff”, „Udany come back Tomaszewskiego”.

Czytałem sprawozdania i opinie z mieszanymi uczuciami, a potem nawet wkurzony. Najpierw cieszyłem się z pozytywnych ocen i udanego powrotu. Potem jednak zaczęło mnie denerwować stawianie na reprezentacji krzyżka. Gdzieś tam mimochodem dodawano, że szansa jest, nie teoretyczna, mało realna, w sferze marzeń. A przecież dopiero zaczęliśmy te rozrywki. Nie wiem, jak inni koleździ, ale ja byłem optymistą i nawet w samolocie do Warszawy chciałem się zakładać, że odprawimy Walijszczyków z pokaźnym bagażem bramkowym.

Muszę powiedzieć, że żał mi było trenera Górskiego, który zachowując kamienny spokój mówił swoim zwyczajem: „Dopóki piłka w grze, wszystko możliwe...”, ale pewnie w głębi serca nie był do końca przekonany, co do naszych możliwości.

Wróćmy teraz do tytułu tego odcinka. Mówię w nim o powrocie, przy czym niestety zgadnąć, że nie należy go pojmować jedynie w sposób dosłowny. Wracałem przede wszystkim z dalekiej podróży, jaką odbyłem od dnia, kiedy dowiedziałem się, że będę broniał w narodowej jedenastce przeciwko RFN, do rozmowy przed meczem w Cardiff, jaką przeprowadził ze mną, w swoim pokoju hotelowym, w obecności Gmocha, trener Górski. I potem do ostatniej minuty meczu z Walią. Wielokrotnie później, leżąc na tapczanie, przypominałem sobie kolejne etapy tej drogi. Bez specjalnego powodu starałem się wylawiać z pamięci fakty, zdarzenia, rozmowy, o których tak naprawdę lepiej byłoby zapomnieć. Kiedy to wszystko bilansowałem, wychodziło na to, że nie pomyliłem się, i że warto było tyrać jak galernik, znosić upokorzenia, posłuszenie przyjmować kryty-

kę. I pamiętać tylko, żeby oprócz zaciśniętych zębów mieć także zaciśnięte pięści.

Powrotu z Cardiff do Łodzi (via Londyn i Warszawa) nie zapomnę również w sensie dosłownym, fizycznym. Każdy piłkarz jest większość swego życia poza dbmem. Mecze, treningi, wyjazdy, zgrupowania, sanatoria, szpitale... Jeżeli jeszcze do tego jest członkiem kadry, czas rozłąki z rodziną wydłuża się dodatkowo. Dlatego piłkarze dobrze pamiętają swoje powroty do domu, po ważniejszych występach, wyjazdach, podróżach zagranicznych. Wiele razy rozmawiałem o tym z chłopakami. Tak, na przykład, Kazio Deyna na całe życie zapamiętał, że z Monachium po Olimpiadzie przywiózł żonie tapetę drewnopodobną. Wie, jak Monika była wtedy ubrana itd. Antek Szymanowski, kiedy go pytałem o powroty, dokładnie umiał wymienić skąd i jaką przywiózł płytę. Co po słynnym Wembley, a co po zdobyciu srebrnego medalu mistrzostw świata w RFN. Na podobnej zasadzie ja pamiętam swój powrót z Cardiff.

Wpadłem do mieszkania krótko po godzinie 18. Przywitałem się z żoną. Rzuciłem na podłogę bagaż. W chwilę potem zjawił się „Albert” Kasalik z gratulacjami i pochwałami. Szykowałem się, żeby usiąść spokojnie i wypić drinka, kiedy przybyli dziennikarze łódzkiej prasy wypytywać o szczegóły. Cieszyli się podobnie jak ja. Gratulowali. Muszę tu powiedzieć, że łódzka prasa od początku mego pobytu w tym mieście darzyła mnie sympatią i, jeśli tak można powiedzieć, trzymała kciuki za mój powrót do kadry. Redaktorzy zadawali więc pytania, a ja odpowiadałem. Najtrudniej było im wyciągnąć, dlaczego przegraliśmy. Przyczynami bezpośrednimi, objawami były mniejsza szybkość i skoczność, słabsza kondycja i skuteczność oraz zdecydowanie mniej... szczęścia, co też jest ważne. Głębsza przyczyna była taka, że mieliśmy w nogach znacznie mniej meczy ligowych niż przeciwnicy.

Gadaliśmy sobie wesoło, kiedy zadzwonił telefon i okazało się, że przy słuchawce jest mama, która serdecznie cieszyła się z mojego występu. Następny w kolejce był ojciec, który — jak zwykle zasadniczy — stwierdził, że już to jakoś wygrał, ale jeszcze może być lepiej. Także siostra Danka nie próbowała ukrywać radości i wzruszenia, że Januszek pokazał co potrafi.

Kiedy zostaliśmy sami z „Albertem”, uczciliśmy wydarzenie po męsku.

Po występie walijskim byliśmy z trenerem Górskim (prowadzącym także LKS) zapraszani na różne spotkania z kibicami, gdzie nie żałowano sobie ostrych słów i uwag, choć także i pochwał pod moim adresem. Zaprosili nas m.in. młodzieżowcy z „Bacutilu”, którzy maglowali nas parę ładnych godzin. Interesowały — jak zwykle przy porażkach — sprawy personalne. Kto zaważył? Kto kogo nie upiłował? Kto źle podawał? Padaly także własne pomysły na ustawienie drużyny na mecz z Anglią w Chorzowie 8 czerwca 1973 roku. I tu muszę przyznać, że w większości były to propozycje bardzo interesujące. Wymieniano nazwiska dwóch młodych obrońców „Wisły” Kraków: Antoniego Szymanowskiego i Adama Musiała, grających bardzo dobre mecze w młodzieżowce. Mieliby oni złuzować Gutsa i Anczoka. Wspomniano o szybkim mielczanie Grzegorz Lato, który od dłuższego czasu był w kręgu zainteresowania trenera Górskiego, ale tymczasem dane mu było zadebiutować. Mówiono też o Mirosławie Bulzackim, koleźce z LKS-u. Wspominałem to spotkanie ze względu na to, że właśnie wieczorową porą w piwniczce „Bacutilu” rozdzili się spontaniczne pomysły, marzenia, które potem tak doskonale się naszej kadry przydały i spełniły.

Padło także pytanie, czy Kazimierz Górski miał świadomość ryzyka, jakie podejmuje wpuszczając mnie na boisko.

— Zdałem sobie doskonale sprawę, że możemy Tomaszewskiemu wyrządzić krzywdę. Bo jeżeli w Cardiff spisz się słabo, to nie tylko na dłuższy czas zostanie stracony dla reprezentacji, ale i dla LKS. Kibice wstrząsną w Polsce witaliby go gwizdami... — mówił „Kazio” i było to przekonujące, bo... prawdziwe.

Zapytano nas także, dlaczego nagłe zapaliliśmy z Górskim miłością do miasta włókniarzy. „Kazio” odpowiedział, że chodziło o... syna, który ma zamiar studiować na jednej z wyższych uczelni w tym mieście. Ja natomiast „wyznałem”, że zaważyły sprawy... sercowe i opowiedziałem historię, jak to kiedyś przypadkiem poznałem piękną łódziankę Dorotę, kasjerkę Banku PeKaO (nie nazywało się to jeszcze wtedy Pewexem) i dla niej porzuciłem stolice kraju. Nie muszę chyba wyśmiewać, że syn trenera Górskiego miał analogiczny kierunek studiów w Warszawie oraz tego, że moja motywacja była równie prawdziwa, jak i mego mistrza. Owszem, ożeniłem się z łódzianką, ale poznałem ją już po przyjeździe...

Graliśmy wtedy, w „Bacutilu”, z kamiennymi twarzami i głębokim przekonaniem w głosie. Górski to już umiał. Ja się nauczyłem.

Po tym Cardiff, w krótkich odstępach czasowych, zaczęły mi się przydarzać różne historie, wpływające — nazwijmy to — na intensywność życia. Krótko o każdej z nich...

Przed meczem ligowym z ROW-em Rybnik, w przeddzień tego spotkania, wyjechałem na trening swoim nowym jeszcze fiałem 125-p. Po drodze, zgodnie z wcześniejszą umową, zabrałem Andrzeja Grębosza. Jechaliśmy pięćdziesiątką, nawierzchnia była dość śliska, bo po deszczu i śniegu. Na jednym z zakrętów postanowiłem nie redukować szyb-



„Tomkowi — Kalina Jędrusik” — miłośniczka... futbolu. Foto: Archiwum Jana Tomaszewskiego

kości, tak jak zwykle, ale wejść w niego poślizgiem kontrolowanym. Obejrzałem się do tyłu i kiedy stwierdziłem, że nic nie nadjeżdża, wykonałem zamiar. Niestety przesadziłem. Wóz zaczęło ściągać tyłem w stronę krawędzi jezdni. Nie pomagało ani kontrowanie kierownicą, ani pulsacyjne hamowanie, ani dodawanie gazu. Wyrzuciłem samochodem w drzewo. Posypała się przednia szyba. Wyskoczyła w górę powyginana pokrywa maski. Spojrzałem na Andrzeja, który zasłaniał głowę i zapytałem, czy żyje.

— Ja żyję, ale popatrz, k...a, na samochód... — odpowiedział

Istotnie widok nie był najprzyjemniejszy. Wyjeżdżaliśmy z pojazdu, odsunęli go na bok i... powędrowali na trening, który akurat dobiegał końca. Trenerzy Górski i Kowalski popatrzyli na nas i od razu skapowali, że coś jest nie tak. Byliśmy oszołomieni. Nie jest wykluczone, że mogliśmy sprawić wrażenie napitych. Szybko jednak rzecz się wyjaśniła i zaczęto się cieszyć, że nic nam się nie stało.

Innym znów razem LKS „ostały podczas meczu ze „Stalą” Mielec beze mnie i trenera. Drużyna ta, z takimi graczami jak Kukla, Rzeźy, Kasperczak, Lato, Domarski, Karaś, Sekulski — szła na „miechę” czyli mistrzostwo kraju. Mecz był w Łodzi. Przyjechał nań z Warszawy trener młodzieżowki Andrzej Strelau. Po obiedzie Górski i Strelau zasiedli do kawy i postanowili pogadać („krućciutko”) o sprawach reprezentacji, meczu z Anglią i ewentualnych graczach młodzieżowki mogących wzmocnić team Górskiego. O dziwo, padały te same nazwiska, co w „Bacutilu”. Przysłuchiwałem się tej rozmowie, za zgodą obu trenerów. Było także dwóch dziennikarzy. Nagle stwierdziliśmy, że mecz zaczyna się za 55 minut. Wybiegliśmy na Piotrkowską. Na postoju taksówek długa kolejka. Tramwaje nabite, tak że palca nie wciśniesz. Na piechotę za daleko. Postanowiliśmy próbować sposobów autostopowych, ale też nic z tego... Wreszcie ulitowała się nad nami załoga milicyjnej nysy i odstawiła na stadion. Kibice widząc, jak wysiadamy mieli sporo uciechy i komentarze były określone („Prosto z izby jąd...”). W sumie jednak zdążyliśmy, a ja zagrałem naprawdę dobry mecz (0:0).

Kolejną przygodę przeżyłem w Szczecinie, gdzie pojechalismy na mecz z „Pogonią”. Od wyjazdu z Łodzi było jakos pechowo. Drozdowskiemu zrobił się na nodze czyrak i wiadomo było, że nie zagra. Kasalik był oturbowany po poprzednim meczu i też na dwoje bakba wróżyła... Żeby był kompletnie „szczęśliwych” zdarzeń, do pokoju, w którym mieszkaliśmy z Szadkowskim, ktoś się wiałal, kiedy jedliśmy kolację, i „podprowadził” mi z torby dowód osobisty, dwa tysiące i — przede wszystkim — kartę członka kadry narodowej. Utratę tego ostatniego dokumentu przeżyłem najbardziej, bo dopiero od niedawna używałem go, jako członka pierwszej reprezentacji Polski. Chłopaki straszili mnie, że to zły omen, że pewnie już nie zagram itd. Trener Górski pocieszał mnie, żebym się nie przejmował, i że przy najbliższej okazji przywiezie mi z Warszawy duplikat. Ostatecznie następnego dnia grałem tak, że uznano mnie za najlepszego na boisku zawodnika.

Wszystkie te przygody, które w innej sytuacji dodatkowo bym nie przynęgnęli, wtedy odbierałem ze spokojem, pogodą ducha, a nawet pewną radością dziecka, które lubi, jak się coś wokół niego dzieje.

W lidze też szło nam dobrze. Bronilem bez większych wypadków i byłem, jak to się mówi, w „gazie”. Z optymizmem oczekiwałem więc spotkania z kolegami wyspiarszami, tyle że już znacznie groźniejszymi: ANGLIKAMI. Było nie było — byłymi mistrzami świata...

(ciąg dalszy nastąpi)

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki